PANI

TREŚĆ NUMERU.

NA SZCZYCIE SAMOTNYM (wiersz) . . *Kornela Makuszyńskiego.*
KRAJOBRAZ GÓRSKI . . . . . *I. M. Rytarda.*
BIAŁY RYCERZ . . . . . *Cez. Jellenty.*
W GÓRACH WSZYSTKO JEST INNE . . *Witolda Leonharda.*
PRZEWODNIK PO ZAKOPANEM . . . *Kornela Makuszyńskiego.*
O NARTACH I NARCIARSTWIE . . . *M. Zar...*
ROSŁAN WŚRÓD DAM . . . . . *Zdzisława Kleszczyńskiego.*
CZERWONY BOBSLEIGH (wiersz) . . . *Mitra.*
DWÓR RODZINNY (wiersz) . . . . *M. J. Wielopolskiej.*
KILKA SŁÓW O NARTACH . . . . *Skiłeł.*
TO, O CZEM SIĘ NIE MÓWI . . . . *Niny.*
W SŁOŃCU ZIMOWEM . . . . . *J. Zaruby.*
SEZON SPORTÓW ZIMOWYCH W ST. MORITZ *T. Semadeni.*
BIAŁY SEZON W SZWAJCARJI . . .
SPORT A LITERATURA . . . . . *Józefa Brodzkiego.*
* * * (wiersz) . . . . . *Juljana Tuwima.*
MAGJA DROGICH KAMIENI (ciąg dalszy) . *Witolda Bunikiewicza.*
PRZYJAŹŃ I MIŁOŚĆ . . . . . *Boy-Żeleńskiego.*
WSPÓŁCZESNE AUTORKI POLSKIE (Zofja Nałkowska) (ciąg dalszy) *Jana Lorentowicza.*
NOTATNIK „PANI":
1) LITERATURA . . . . . *C. Jellenty. M. Sterlinga. St. Sierosławskiego.*
2) TEATR . . . . . *Cez. Jel. i Józefa Brodzkiego.*
3) MUZYKA . . . . . *C. Jellenty.*
4) SZTUKA . . . . . *Wacł. Husarskiego.*

KRONIKA.
OKŁADKA: *Władysława Skoczylasa.*
NUMER ZDOBILI: *T. Gronowski, J. Zaruba, W. Wąsowicz.*

REDAKTOR NACZELNY: *Marjan Dąbrowski.*

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Gustaw Zmigryder.*

Z dniem 1 stycznia 1925 roku otwieramy prenumeratę „Pani" na następujących warunkach:

Prenumerata miejscowa:		Na prowincji:	
Kwartalnie	„ 12.—	Kwartalnie	„ 13.50
Półrocznie	„ 24.—	Półrocznie	„ 27.—
Rocznie	„ 48.—	Rocznie	„ 54.—

Egzemplarz pojedyńczy w Warszawie Zł. 5.—
Na prowincii (z przesyłką) . . . . „ 5.50
Za granicą „ . . . . „ 6.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach, kioskach oraz w księgarniach kolejowych „Ruch".
Ogłoszenia przyjmuje Administracja i wszelkie biura ogłoszeń.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Nowogrodzka 26 m. 5. II p. Teleton 234-65, 70-21. Konto P. K. O. 82-92.

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Pani" (Sp. z ógr. odp.)

SKŁAD OBIĆ PAPIEROWYCH

F. STASZEWSKI

WYROBY WŁASNE I ZAGRANICZNE

WARSZAWA, MAZOWIECKA 8

TELEFON 70-85

WYTWORNE

WARSZAWA

MIODOWA 6, TEL. 132-99

FABRYCZNY SKŁAD

Pończoch i Trykotaży

Najstarsza firma chrześcijańska

POLECA W WIELKIM WYBORZE:

Pończoszki złote i srebrne. Suknie i kostjumy z Paryża i Wiednia. Pantalony, koszulki, kalesony z czystej wełny, jak również półwełniane, bawełniane i fil d'ecosse Żakiety, ubranka i t. d.

Towary wyborowe. *Ceny konkurencyjne.*

Z. MENTZEL Marszałkowska 101, tel. 226-54
Świętokrzyska 5, tel. 35-49

Reumatyzm

tak uciążliwy, jak również powodowane przezeń bóle przeszywające, dotkliwe, można łatwo usunąć przez zastosowanie

THERMOGÈNE

(TERMOŻEN)

Thermogène rozwija przyjemne i dobroczynne ciepło, które natychmiast uśmierza bóle. Przyspieszając obieg krwi, usuwa kwas moczowy, którego nagromadzenie się wywołuje reumatyzm.

THERMOGÈNE LECZY

KASZEL, GRYPĘ, REUMATYZM, KŁUCIE W BOKU
POSTRZAŁ (ból lędźwiowy) BÓLE GARDŁA, NEREK I T. P.

Żądać w aptekach i składach aptecznych

Biuro „ASMIDAR", Warszawa, Złota 14, tel. 224-27

WYDAWNICTWO
INFORMACJI PRASOWEJ POLSKIEJ W WARSZAWIE

Informacja Powszechna

Przegląd tygodniowy życia społecznego i kulturalnego oraz prasy

GAZETA GAZET

Niezależny bezstronny najbogatszy w treść najtańszy tygodnik

Co tydzień 6 stron dużego formatu za 40 groszy
W prenumeracie miesięcznie zł. 1.50 bez przesyłki
zł. 1.75 z przesyłką
kwartalnie zł. 4.— bez przesyłki
zł 5.— z przesyłką

Do nabycia w Warszawie w kioskach i Administracji, w Informacji Prasowej Polskiej Bracka 5 i we wszystkich filjach „Ruchu" na stacjach kolejow.

NOWOŚCI
SEZONOWE

KONOPKA & REDULSKI

MARSZAŁKOWSKA 130 TEL 30-01

WEŁNY JEDWABIE
WELWETY PLUSZE

MATERJAŁY NA UBIORY MĘSKIE

秀 **MAH JONG** 俊

Najmodniejsza starochińska Gra towarzyska

LORNETKI

PERŁY

TOREBKI
DAMSKIE

KRYSZTAŁY

WYROBY
BRONZOWE
MARMUROWE

I T. P.

POLECA WIELKI WYBÓR NOWOŚCI

CUKIERNIA

ZIEMIANSKA

WARSZAWA·MAZOWIECKA 12

Pani

PISMO POŚWIĘCONE KULTURZE I ESTETYCE ŻYCIA

Nr. 1 KONIEC STYCZNIA 1925 ROK IV

„HOCKEY-PARTY"

RYSUNEK TADEUSZA GRONOWSKIEGO

NA SZCZYCIE SAMOTNYM

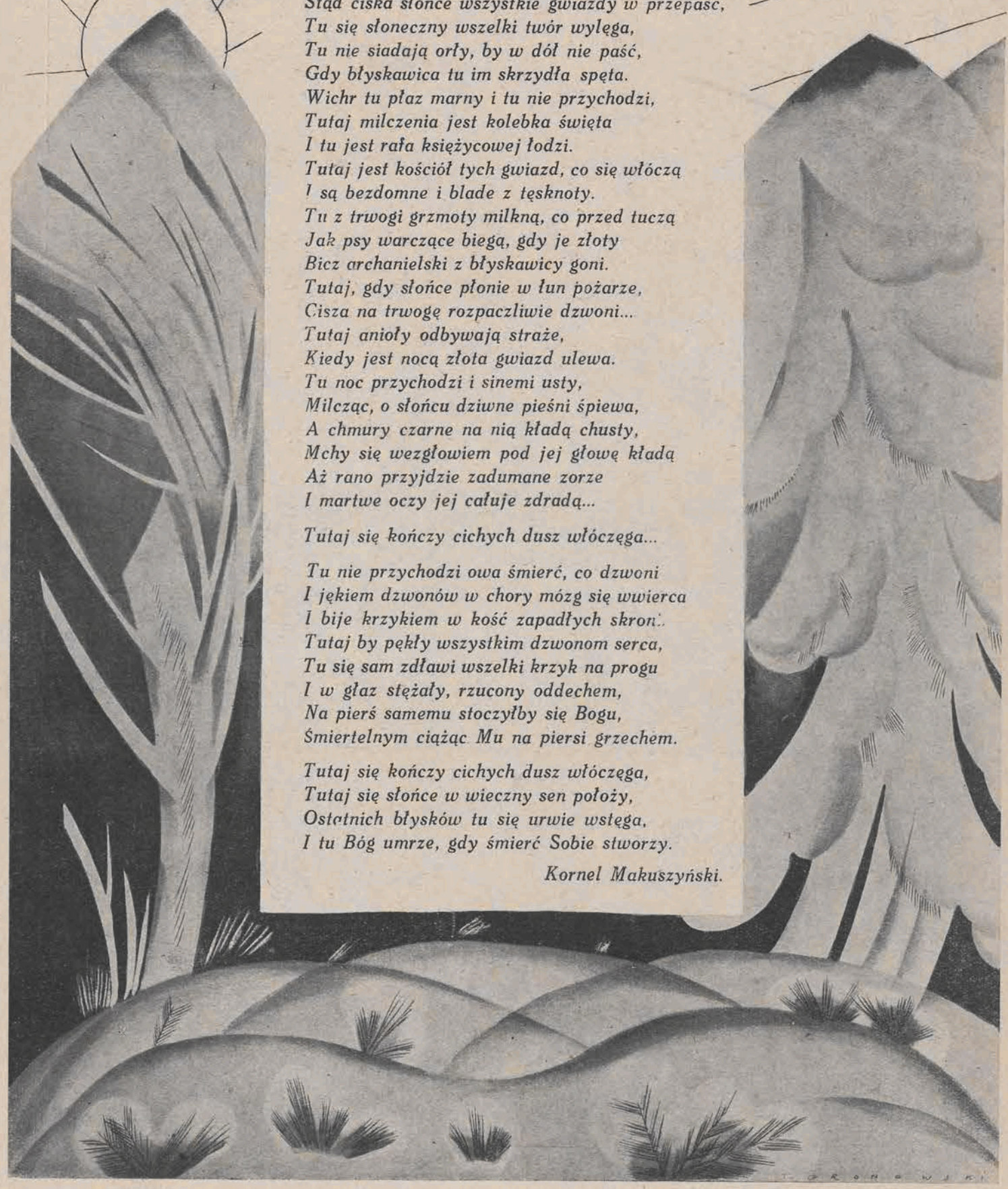

Tutaj się kończy cichych dusz włóczęga...

Stąd ciska słońce wszystkie gwiazdy w przepaść,
Tu się słoneczny wszelki twór wylęga,
Tu nie siadają orły, by w dół nie paść,
Gdy błyskawica tu im skrzydła spęta.
Wichr tu płaz marny i tu nie przychodzi,
Tutaj milczenia jest kolebka święta
I tu jest rafa księżycowej łodzi.
Tutaj jest kościół tych gwiazd, co się włóczą
I są bezdomne i blade z tęsknoty.
Tu z trwogi grzmoty milkną, co przed tuczą
Jak psy warczące biegą, gdy je złoty
Bicz archanielski z błyskawicy goni.
Tutaj, gdy słońce płonie w łun pożarze,
Cisza na trwogę rozpaczliwie dzwoni...
Tutaj anioły odbywają straże,
Kiedy jest nocą złota gwiazd ulewa.
Tu noc przychodzi i sinemi usty,
Milcząc, o słońcu dziwne pieśni śpiewa,
A chmury czarne na nią kładą chusty,
Mchy się wezgłowiem pod jej głowę kładą
Aż rano przyjdzie zadumane zorze
I martwe oczy jej całuje zdradą...

Tutaj się kończy cichych dusz włóczęga...

Tu nie przychodzi owa śmierć, co dzwoni
I jękiem dzwonów w chory mózg się wwierca
I bije krzykiem w kość zapadłych skroni.
Tutaj by pękły wszystkim dzwonom serca,
Tu się sam zdławi wszelki krzyk na progu
I w głaz stężały, rzucony oddechem,
Na pierś samemu stoczyłby się Bogu,
Śmiertelnym ciążąc Mu na piersi grzechem.

Tutaj się kończy cichych dusz włóczęga,
Tutaj się słońce w wieczny sen położy,
Ostatnich błysków tu się urwie wstęga,
I tu Bóg umrze, gdy śmierć Sobie stworzy.

Kornel Makuszyński.

Rys. T. Gronowskiego

GIEWONT

Fot. Oppenheim

HALA GĄSIENICOWA

Fot. Oppenheim

Krajobraz górski

Ucichły koszmarne gwizdy ostatniego pociągu. Jeszcze jeden urwany syk pary, rzucony młotem leśnego echa na przestrzenie pozwijane w głębie bez dna i granic.

Przesunęła się dzisiaj wartość krajobrazu gdzieś w szufladki ostatnie zaniedbania.

Noc, jak nirwana ciszy, ale tej najbliższej. Cisza ma zawsze kilka planów, jeśli ich nie ma w nieskończoność.

Jest cisza doliny, jest cisza regli i tam, gdzieś jeszcze dalej — spokój najwyższych wierchów.

Oto zgromadzona już cała, najpotężniejsza czarność tatrzańskiej nocy.

Teraz trzeba słuchać i patrzyć.

W pierwszym planie cichości coś szeleści. To potok, staroświecki potoczek, dygocąc delikatnie, ślizga się po pod podnóża Gubołówki. Choć biało już wszędzie, jeszcze ma kilka przerw w lodzie, jeszcze się burzy w nich i omywa te lody pierwsze, niepewne.

Od regli szum. Cicho.

Płynie, jak akompanjament.

Każda dolina, to jak złóbcek, a potok, jak jedna na nim struna.

Złóbceki Giewontu!

Grają tylko nocami.

W dzień je zagłusza jarmarczność ulic.

Teraz się rozfalowały. I są treścią drugiego planu ciszy.

Za niemi łańcuch biały, podniebny.

Treść najistotniejsza.

Choć się je zna zbliska, choć się na nich szalało z radości wspinania, w zachwycie spływania ze szczytów w niebieskie, smrekowe doliny bez dna, zawsze są góry te granitowe, dalekie i tajemnicze! Stoi biały mur poszarpany i będzie zawsze legendą, mitem wysokości.

Jest pora taka we wszechświecie, tak wymierzona i wyznaczona, że o takiej wieloplanowej nocy tatrzańskiej, o pewnej godzinie, gdzieś tam z ponad Hawrania, z poza Murania wypływać zaczyna rude, gęste światło.

To zjawia się, nie codzień, i nie zawsze zorza księżycowa.

Fot. Oppenheim

„GORYCZKOWA"

Jedna, dwie, trzy minuty, i już ponad Koszystą płynie miedziana tarcza księżyca.

Olbrzymie koło rudo-złote na niebie czarnem dotychczas, w którem teraz obudził się nagle ciemny seledyn nocny.

Tak działa magicznie księżyc górski na zenity koloru indygo.

Wszystko się zmienia.

Blado-zielone szczyty są jeszcze wyższe, jeszcze legendarniejsze. I tylko żółta turnia, biała piramida, ma jeden bok jaśniejszy. Wszystko się zataiło. Jakby na jednej, wielkiej linji stały wszystkie szczyty.

Teraz zaczyna swą grę zielony tlen księżycowej nocy. Płaszczyzny wzgórz połamały się w tafle różnych odcieni. Cicho.

*

Nad Kasprowym i Giewontem obłok okrągły.

Księżyc już wysoko. Mały, w czystej, mroźnej barwie.

Szum jeden gwałtowny! Jak olbrzymia. niewidzialna pięść uderzył w lasy i zbocza ostre!

I znowu cicho.

Obłok przewrócił się na bok i drży!

Góry odezwały się rykiem.

Nad Giewontem biały, konwulsyjny kłąb.

Faluje, pieni się, zmienia kształt i barwę co chwila.

Halny!

Już słychać jego echo o różnych napięciach.

Syczą lasy jadowitym zgrzytem.

Eh — juuu!...

Regle falują. Gubałówka zmienia tony i odbija szum ku niebu.

Na doliny spadło pierwsze, przyziemne zacięcie wiatru.

Jak syk olbrzymiej żmiji.

Kłębowisko nad szczytami rośnie, pęcznieje.

Nie słychać już potoków. Zatarły się wszystkie plany.

Kopuła halnego zdobywa dla siebie pomału, z wysiłkiem tajemniczym przestrzeń na niebie.

Siła niewidoczna cofa ją ciągle wśród ryków oporu wtył, poza szczyty seledynowe.

Nie będzie już ciszy tej nocy.

Obudziły się siły wspaniałe i potworne. Duch świata górskiego ocknął się późną nocą. Szaleje!

Eter gór płynie ku nam w doliny!

Na dworze odezwało się ciche dzwonienie sanek. Jak ten dzwonek u sań, nikły i mały jest człowiek w noc Halnego!

10.I.1925. *J. M. Rytard.*

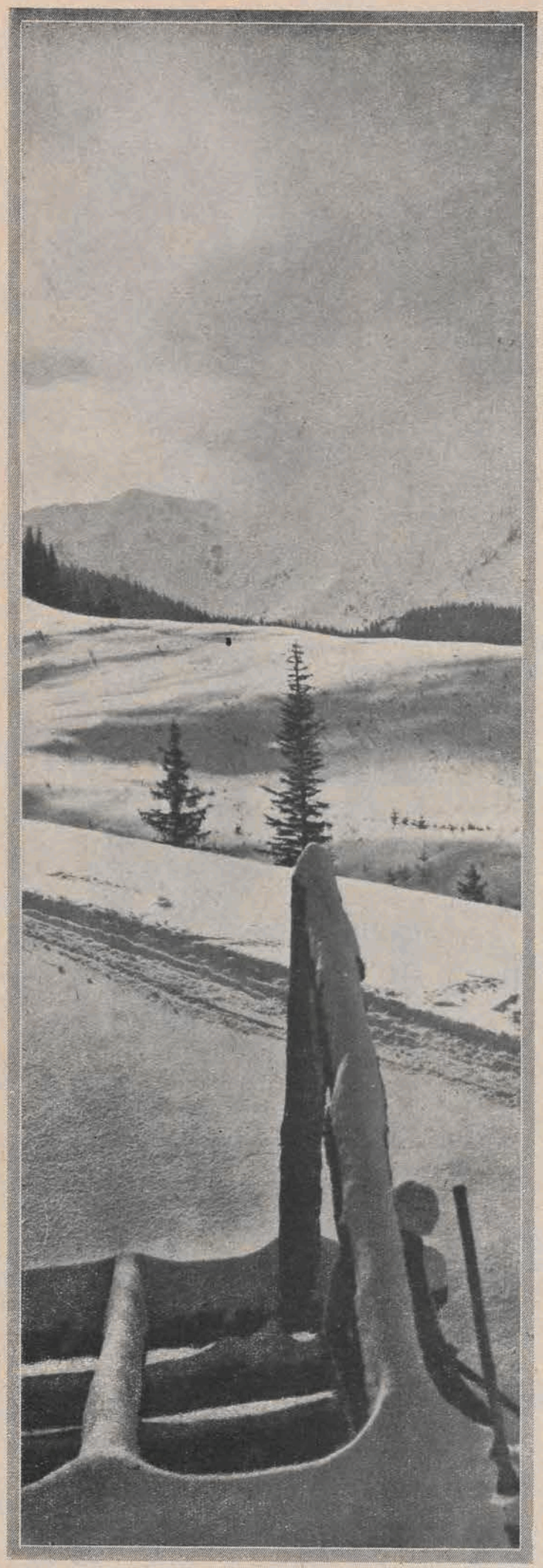

Biały Rycerz

Płaskowzgórek między ulicą Kościeliską a reglami, jak długi i szeroki, był z litego srebra. Całun śniegowy, skrzący przeczysto, był w tem miejscu szczególnie świetny i ponętny.. Pomijając złudzenie, że jest z polerowanego kruszcu — grzał duszę w tej zaklętej ciszy słońca południowego, pod niebem błękitnem i łaskawem.

Mieszkaliśmy w kilka rodzin zaprzyjaźnionych z sobą w ostatnich chałupach. To były jeszcze czasy szczelin i niedomykających się drzwi i tysiąca niewygód. Daleko przyjemniej było na przedprożu wyniosłego Giewontu. Tu wszystko było dobrze sklepione i zbudowane. Koszysta, Murań, Hawrań i harde czuby dalszych szczytów, starannie od wieczności wyciosane i umontowane, wlewały jakąś moc i porządek w gospodarkę umysłu ludzkiego.

Ale jeszcze nie przeczuwał nikt, że przyjdą narty i saneczki i cudna maleńka dolina Jaworzynka zamieni się zimą na dół dla odskoczni. Więc sportem naszym były spacery do dolin po przez gaje świerkowe, obwieszone mikołajskiemi brodami. Fantastyczne bajki rozśpiewały się po gałęziach. Niewidzialne królewny, zaklęte i ukryte krasnoludki gadały w śniegowych stalaktytach. Spokój nieziemski grał uśpioną epopeę rycerzy, śpiących w Tatrach.

Powiedziałem paniom: za karę za owo Krzyżne, gdzie miałem Krzyż Pański— będziemy budowali białego witezia. Niech to, co jest ukryte i drzemie pod białemi zaspami, wylezie i powstanie.

Z paniami temi, już w pierwszych dniach października, poszliśmy do Morskiego Oka. Lecz dla przekory, czy tem większej marudy, uparły się, żeby iść tym razem przez Krzyżne. Na nieskończonych i nieciekawych zakosach umierałem z nudów. W dodatku jedna z pań dostawała bicia serca, gdyśmy się wspinali pod górę, a druga miała palpitację, gdyśmy już minęli przełęcz i schodzili ku dolinie Pięciu Stawów. Krupiło się to na mnie, gdyż musiałem to jednę, to drugą prowadzić pod rękę. Stary Wojciech Roj, ich sąsiad i chętny do gawędy z babami, wstydził się wielce, gdy spostrzegł, jaka to jest wycieczka, której zgodził się przewodzić z kilkoma młodszymi góralami, niosącymi nieskończone zapasy mięsiw, wódek, herbaty i czekolady.

Gdyśmy więc po długim popasie nad jeziorem wgramolili się na Świstówkę, a potem, wszyscy wzajem źli na siebie, dotarli wreszcie do Morskiego Oka — Wojciech Roj, stary wyjadacz, nie w ciemię bity, wykoncypował dwie rzeczy: pierwsze, że musi spieszyć na chrzciny swo-

jego wnuka do Zakopanego, a drugie, że ma okrutny ból zębów, i dość bezceremonjalnie nas pożegnał, a zostawił z tragarzami jeno. Było po tem dużo kwasów i irytacji.

Za karę tedy kazałem paniom z palpitacją serca — sypać szuflami na srebrnolitym wzgórzu wielki cokół. W miarę jak rósł, udeptywaliśmy go nogami i mogliśmy po nim swobodnie chodzić, nie brnąc w śnieg, jako, że był już ubity. A potem, kiedy już był wysoki kilka metrów—trwało to prawie do samych świąt Bożego Narodzenia, — z wierzchniej jego warstwy zacząłem budować rycerza, wielkiego, białego, zwartego w sobie rycerza — oczywiście już nie śpiącego.

Straszniešmy się cieszyli, gdy już stanęły wielkie nogi olbrzyma. A potem — jak sięgnąć bioder i pasa? Chłopcy musieli nam podsypywać na górę śnieg, zgarniany z pola. Pracowaliśmy do wieczora, rozgrzani słońcem i robotą. A schodziliśmy, dopiero, gdy cienie zaczynały się rozczapierzać, i mróz, gdzieści tam zaczajony i tchórzliwie, jak wilk, schowany przed palącą maczugą słońca, wyłaził, zły basior z zielonemi, żarłocznemi ślepiami.

Ale rycerz się budził i prostował. Pewnego popołudnia był gotów, w wielkim płaszczu, pięknie sfałdowanym, w hełmie i szyszaku.

Zeszliśmy tedy po stopniach fundamentu i jęli się paladynowi przyglądać. Nie ma co mówić: wspaniały był i monumentalny, lepszegoby i Dunikowski nie zrobił. Wyniosła, groźna bryła z rękami po sobie i wysokim pioropuszem.

Przychodzili ludzie nawet z Krupówek patrzyć i podziwiać. Panie były dumne ze swej spółpracy i tak zachwycone, że w pewnej chwili strach mię ogarnął, iż jedna z nich zacznie pisać sonety.

Zdarzyło się akurat wówczas, że przechodził ulicą Kościeliską Stanisław Witkiewicz.

Była to bowiem jeszcze epoka legendowa Zakopanego, jego wielkich duchów opiekuńczych. Jeszcze żył twórca „Na przełęczy" i jeździł sobie do Poronina do przyjaciół, z gorączką w płucach, w pelerynie wiaterkiem podszytej, przy dwudziestu stopniach niżej zera według Réaumura.

Miało się ku zachodowi. Mróz tężał. Lasy na reglach i u wylotów dolin powoli wyzbywały się resztek czarnoty pniowej i zlewały się w wielkie lawiny śnieżne. A na Szczytach, na Lodowym, Wysokiej kładły się wielkie błamy liljowej przędzy. Stopniowo ametystowy nieszpór ogarniał całe pasmo gór, a wielki kontur śpiącego rycerza Giewontu zasnuwał się w matowo-fiołkowe przędze. Zbliżał się od wirchów kardynalski majestat wieczoru; wszystkie blaski zimne i ciepłe i sine cienie na grudach śnieżnych nasiąkały z każdą chwilą mgłą i zadumą. Tatry dzwoniły swój Anioł Pański.

Ale i naszemu białemu rycerzowi użyczono dekoracji przedwieczornych. I na nim majaczyły jakgdyby złote, purpurowe, a potem fioletowe i mglisto-sine srężogi. Postać jego obudziła się naprawdę, mieniła i żyła.

A nawet, gdy noc zapadła i od gwiazd iskrzących migotliwie spływała leciutka poświata na wyże i niże, coś tam po hełmie jego się przemykało; drzemał, ale najwyraźniej obracał się za nami butnie i zarozumiale, jak sam patrjarcha rycerzy — Giewont.

Cez. Jellenta.

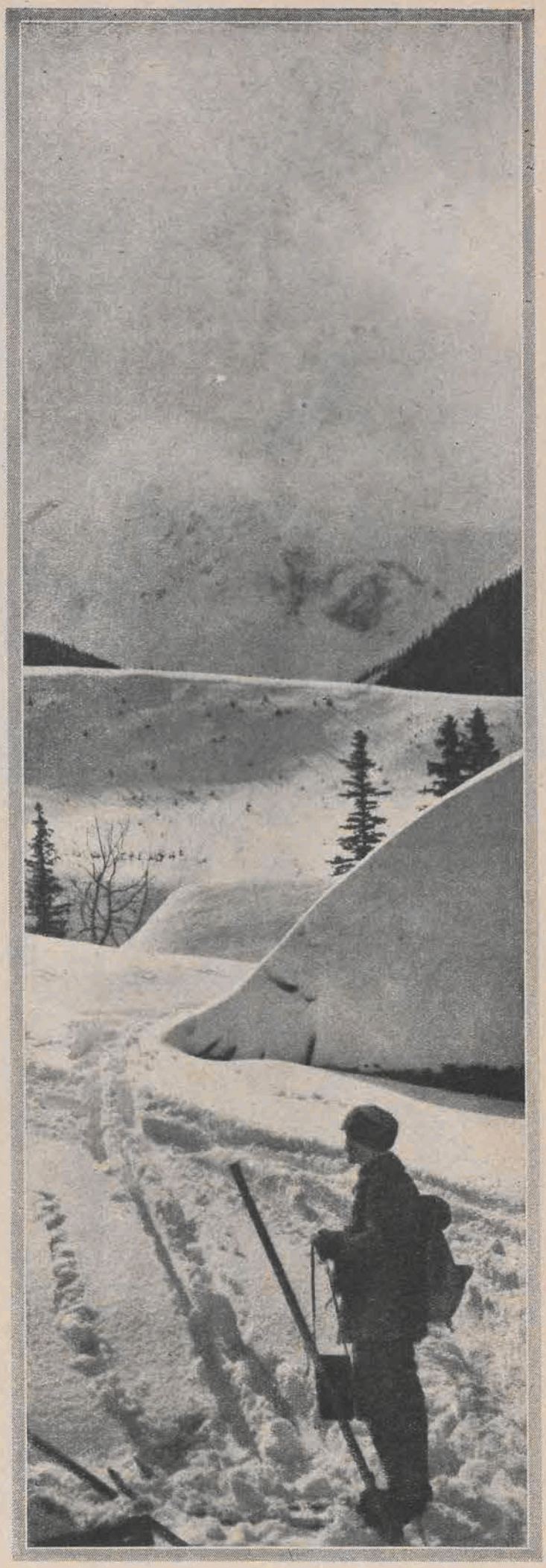

Fot. Oppenheim

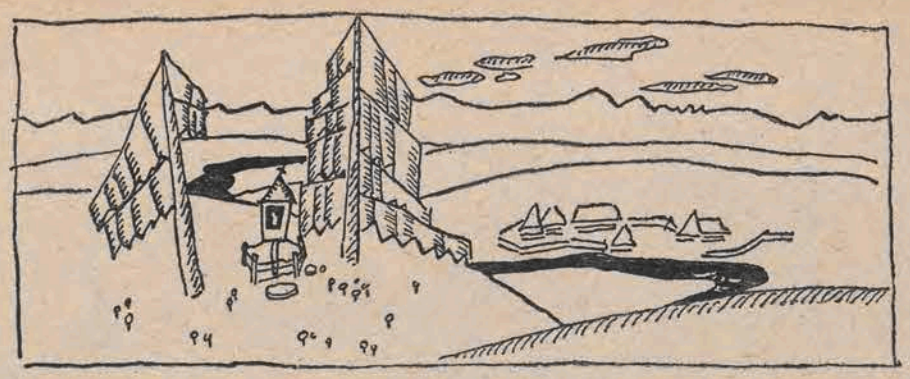

W górach wszystko jest inne

Idę sobie drogą i śpiewam, przystaję co chwilę, patrzę w niebo i uśmiecham się. Cieszę się — sam nie wiem dla czego. Chodzę wyprostowany i oddycham pełną piersią. Wyglądam dumnie. Liczę obłoki, które wynurzają się z za gór. Często się mylę, wtedy liczę na nowo. Zapominam dokąd idę, wracam, skręcam w lewo, to znowu idę prosto.

Nad Czerwonemi Wierchami skłębiły się obłoki i tańczą, wirują — odrywają się od siebie i rozpływają się, giną. — Będzie halny wiatr — myślę — a to dopiero.

Zapominam, że postanowiłem iść prosto. Skręcam w prawo, w dole płynie potok. Wchodzę na most — opieram się o drewnianą poręcz i patrzę w wodę. — Mój Boże, to jest woda. Nie mogę się powstrzymać, schodzę do potoku i zanurzam rękę. Spłoszyłem zimorodka — narobił pisku i uciekł w górę strumienia. Za chwilę poderwał się i drugi, — parka — pomyślałem. Żałowałem w tej chwili, że jestem sam.

Poszedłem dalej. Chodzenie nad potokiem jest trudne, trzeba skakać z kamienia na kamień. Kiedy źle skoczysz, wpadasz do wody, ale cóż to szkodzi... Dałem susa jednego, drugiego i byłem w lesie na przeciwnym brzegu. Zwyczajny las — świerkowy.

Stanąłem i nadsłuchuję. Co za szum? Wsłuchuję się coraz bardziej: zdaje mi się jak gdybym coś miał usłyszeć— jakąś radosną nowinę.

Przyglądam się drzewom, każde jest inne, jedno proste, wesołe, drugie nieszczęśliwe, zakrzywione. Wszystkie zadowolone.

Ot, tak sobie rosną.

Przypomniałem sobie halny wiatr. Wtedy niema żartów. Spada z gór, huczy i świszcze, pędzi jak opętaniec. Drzewa łamie z łatwością. Jest gorący, jak oddech złego ducha, który rozpala zmysły.

A to dopiero zabawne.

Zastanawiam się, czy wrócić, czy iść dalej.

Po lewej ręce widzę wzgórze. Odsłania się polana. Idę po mchu: nagle mech się kończy i zaczyna się trawa. Trawa górska, mała, gęsta i pełna rozsianych kwiatów różnokolorowych.

Wychodzę na wierzchołek. Piękny widok: w dole rozrzucone wsie górskie. Tam potoki się srebrzą — tu znowu łąki pełne pasących się owiec. Na horyzoncie pasmo szczytów gór. Znam je wszystkie. Wiem jak się nazywają. W myślach widzę je całkiem blisko.

O, znam je świetnie. Z lekkością wychodzę na każdą z nich.

Kiedy droga jest stroma, idę powoli, przystaję i patrzę w dół. Odpoczywam i dalej się wspinam. Serce moje bije mocno i równo. Odczuwam jego rytm. Mimowoli — zastanawiam się nad życiem. Z pod nóg staczają się kamienie i coraz prędzej lecą w dół; po drodze trafiają w inne kamienie, uderzając w nie, rozpryskują się na pył. Widocznie tak być musi.

Albo stawy pomiędzy górami. Czy może być coś bardziej niespodziewanego? Wychodzisz na szczyt, spoglądasz w dół: jezioro — czarne, to zielone, ciemno-niebieskie, to z odcieniem purpurowym.

Zdawało mi się kiedyś, że tęcza zakreśliwszy łuk nad ziemią utonęła w takim jeziorze. Nie dziwię się temu zupełnie.

Albo, ileż razy spłoszyłem stado kozic. Trzeba widzieć jak w oka mgnieniu były na szczycie, zbiegły na dół i zginęły pomiędzy skałami. Stałem jak wryty. Nademną krążył orzeł, rozpostarł skrzydła i płynął. Czułem, że nawet na mnie nie zwrócił uwagi, przeleciał nademną i zniknął.

E, co tu mówić, — bawiłem się wtedy nadzwyczajnie.

Rozmyślając, zsunąłem się po gładkiej trawie ze wzgórza i znowu jestem na pierwotnej drodze.

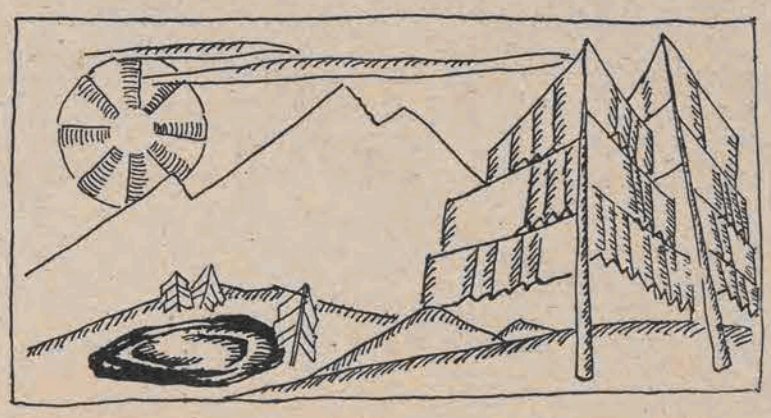

Spotykam ludzi, — gwarzą sobie — klną — to znowu się śmieją. Idą powoli, nie spieszą się, przystają, to popatrzą w tę, to w tamtą stronę. Wszyscy mają pogodne wyrazy twarzy. Jeśli się smucą, to gdzieś na dnie duszy. — Można powiedzieć, ot, tak sobie żyją.

W górach wszystko jest inne. *Witold Leonhard.*

Fot. Oppenheim

Z TURYSTYKI NARCIARSKIEJ
W BESKIDACH

PRZEWODNIK PO ZAKOPANEM

Zakopane, jak to niektórym wiadomo, jest to wieś, leżąca na wielkiej drodze od Trzaski do Karpowicza. Leży ona w rowie, do którego spływają wszystkie paskudztwa z okolicznych pagórków i dlatego Zakopane zostało nazwane „perłą Tatr"; niektórzy zaś nazywają je „letnią stolicą Polski" głównie z tego względu, że latem wszyscy Żydzi opuszczają swoją stolicę, Warszawę i tutaj się przenoszą. Posiada ono sławę europejską, ktokolwiek bowiem z Europy przyjeżdża do Zakopanego, ogłasza natychmiast po całym świecie, żeby się nikt nie ważył tu przyjeżdżać, bo umrze i nawet go już nie będzie gdzie przed tem wykąpać.

O wyspie Whigt powiedział Longfellof, że jest to „miejsce ciepłe w zimie, zimne w lecie". Twierdzenie to z dziwną ścisłością można zastosować do Zakopanego; przez całe lato pada tu zimny deszcz, na wiosnę jest sroga zima, w jesieni jest ciepło, a w zimie upał. Komisja klimatyczna przeciw takiemu stanowi rzeczy nie przeciwdziała i wobec takiej perwersji natury zachowuje się z dziwną opieszałością.

Oryginalność i wielka sława Zakopanego stąd powstała, że klimat jego dokazuje cudów; człowiek chory umiera tu czemprędzej, a jego miejsce w sanatorjum zajmuje natychmiast człowiek, który tu przyjechał zdrowy. Uwaga, że „trzeba mieć końskie zdrowie, aby się leczyć w Zakopanem", jest niezwykle mądra.

W pobliżu Zakopanego rosną wysokie góry Tatry, będące wielkiem naszem bogactwem, w ostatnich czasach bowiem na wysokości około tysiąca metrów odkryto w Tatrach nieprzebrane skarby, wspaniałe i niewyczerpane kopalnie żydowskich gazet, puszek od konserw, łupin od jaj, cynfolji od czekolady, damskich podwiązek i innych takich rzeczy, których nie znajdzie ani w Alpach, ani w Kordylierach, ani na Uralu.

Znakomici taternicy podtrzymują uparcie legendę, że początek rodu ludzkiego nie wywodzi się ani z pod Himalajów, ani z nad Eufratu i Tygrysu, ród ludzki wywodzi się bowiem z Tatr. Na poparcie śmiałego swego twierdzenia przytaczają argument taki, że jakoby widziano niejednokrotnie na wysokości pięciuset metrów pracę nad stworzeniem człowieka, który przychodził potem na świat w Warszawie. Mimo świetnych swoich przymiotów i słynnych przydomków, Zakopane jest miejscowością skromną i cichą. Panuje w niem praca, wzniosły duch i ukochanie natury. Jest rzeczą znamienną, że łagodny szczep górski nigdy na ten przykład nie zabija zwierzęcia, ani kury, ani indyka, ani wołu, ani barana i dopiero, kiedy zwierzę poczciwie zdechnie ze starości, góral—rzewnie płacząc—odnosi jego ukochane zwłoki do pensjonatu, gdzie je zjadają ludzie, również ze łzami.

Górale, jest to szczep dorodny i dzielny; wesele trwa u nich trzy dni, pogrzeb siedem. Jest to lud słynny z rycerskości i uprzejmej dworności, nie zdarzyło się bowiem dotąd, żeby pobito gościa z nizin, drobnych zaś utarczek słownych z wywijaniem batem ponad głową, nie należy brać pod uwagę, jako oznaki jedynie wesołego usposobienia ludności.

Zakopane ze względu na nieporównane swoje zalety, szczególnie zaś z powodu swoich cudów architektonicznych, jest tłumnie odwiedzane; przybysze oglądają ze zdumieniem wysokie domy wesoło przybudowane do kozich stajen i wspaniałe parkany, zygzakiem się wijące; objawia się w tem niezwykła artystyczna fantazja ludu i chęć utrzymania sielskiego charakteru Zakopanego. Stąd to pochodzi urocze rozrzucanie nawozu na działkach pola, przyległego do głównych ulic.

Zakopane posiada jeden teatr, nigdy nie czynny, lecz stojący na wysokim poziomie, słynny kinematograf i cztery dancingi, elektrownię, tak dowcipnie urządzoną, że światło gaśnie co pół godziny, czego nie posiada nawet żadne z miast amerykańskich, pozatem pomnik Jagiełły i rzecz w Zakopanem najpotrzebniejszą — cmentarz.

Urok pobytu w Zakopanem na tem polega, że chodzi się tam zawsze pod górę. Niewiele miast na świecie posiada

zaletę tak charakterystyczną. Jest ono słynne, jako królewska siedziba wszystkich sportów i gdyby na Olimpiadzie dopuszczono sztukę przejścia w zimie przez ulicę w Zakopanem bez wybicia sobie siedmiu przednich zębów, uzyskalibyśmy rekord świata.

Zakopane leży w starostwie nowotarskiem, znać jednak pewne jego ciążenie ku wolności, w tem się oznajmiające, że z rozporządzenia starosty nowotarskiego Zakopane mało sobie robi. Na wypadek ogłoszenia republiki w Zakopanem brana jest pod uwagę kandydatura moja na prezydenta. Zakopane bowiem musi w jakiś sposób wyrazić mi swoją wdzięczność i miłość.

Do wiadomości treściwych, które znać należy przed wyjazdem do Zakopanego, dodać trzeba te jeszcze: jedzenie należy zabierać ze sobą na cały czas pobytu; pozatem papierosy, dorożkę, światło elektryczne i pościel, dom i inne konieczne do życia drobiazgi. W Zakopanem można dostać jedynie ciupagę.

Wino w Zakopanem, ze względu na czystość górskiej wody, jest wysokiej marki. Ser owczy jest znakomity i ze względów oszczędnościowo-gospodarczych godny polecenia, ser taki bowiem leży w żołądku, jak w spiżarni, czasem rok, czasem dwa. Pogrzeby są względnie tanie. Żydy — kopa za grosz.

Poczta znajduje się w środku miasta i jest miłym klubem, gdzie się wesoło spędza czas; nadanie listu poleconego trwa godzin dwanaście. Dlatego w Zakopanem szybko upływa życie.

Zakopane posiada trzech murzynów, z których jeden twierdzi o drugim, a drugi o trzecim, że są to przebrane żydki.

Pstrągów niema, kwiczoły uciekły.

Fenomenem Zakopanego jest zdolność rodzenia przez mężczyzn, każdy bowiem może sobie przeczytać wielki szyld: „Apolonja Grajcar, akuszerka damska". Jeśli jest damska, musi być i męska. W Zakopanem jest wszystko możliwe. Czyż Karpowicz nie wygląda tak, jakby był w błogosławionym stanie? Ha! *Kornel Makuszyński.*

Fot. Oppenheim

Z TURYSTYKI NARCIARSKIEJ
Na Pośredniej Turni pod Świnicą.

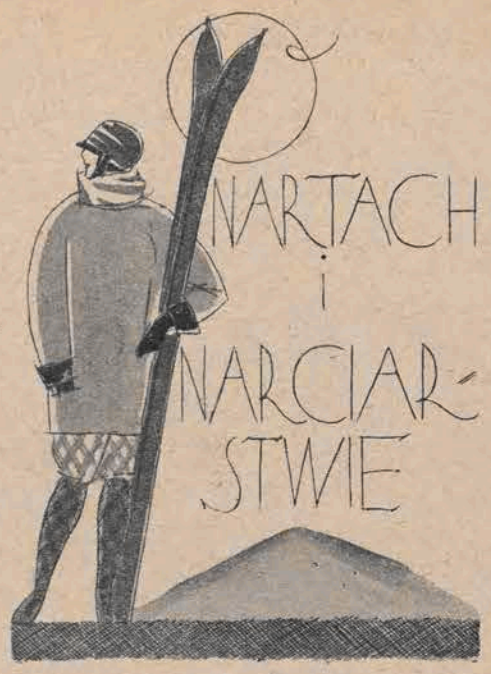

(RADY I WSKAZÓWKI)

Łaskawa niekiedy, a zawsze piękna Pani sądzi zapewne, że spełniając życzenie Redaktora napiszę Jej o tem, jak i z jakiego drzewa wyrabia się narty, jakiemi „więźbami" przypina się je do stopy, jak się niemi kieruje i jak metodycznemi ćwiczeniami uzyskuje się umiejętność jazdy na nartach.

Prawdopodobnie takie były intencje Redaktora. Śpieszę wszakże uspokoić Panią, że nie zważając na zawód, jakiego dozna Redaktor (jacy oni wszyscy nudni — ci redaktorzy!) i przypuszczalnie gniew jego, ani myślę rozwodzić się nad podobnie banalnemi rzeczami.

Byłoby z mojej strony niedelikatnie, niegrzecznie, nieprzyzwoicie zmuszać Panią do wysłuchania czegoś w rodzaju prelekcji o fermentacji piwa w browarze „Haberbusch i Schille". Poco to wszystko? Narty powinny być gotowe — to jasne. Jest to jedna prawda niezbita. A druga — to, że narty powinny być do stopy przymocowane. W jaki sposób i zapomocą jakiej więźby, co to Panią może obchodzić? To rzecz tego pana, który Pani chętnie, aczkolwiek nieco niezgrabnie, bo trochę zadługo nartę przymocuje. Cóż teraz? Teraz trzeba jechać.

A zatem sport.

O nim właśnie, o sporcie chcę mówić.

To nie jest „Haberbusch i Schille" przedewszystkiem dlatego, że nie fermentuje, a powtóre, że jest modny.

Wiem, że Pani chętnie zechce wysłuchać moich rozważań o rzeczy modnej, nawet gdyby to była prelekcja. Prelekcji jednak nie będzie.

Wiem również, że Pani, stojąc w tej chwili na nartach, chciałaby już jechać — i to nietylko jechać gdziebądź i jakbądź, mniej więcej tak, jak w Sejmie się jeździ, ale odrazu z całego rozpędu wjechać na nartach do serca swego wybranego, a na końcu wykręcić w niem (w sercu) takiego „telemarka", że wybranemu włosy stanęłyby na głowie, jak sierść u wystraszonego kota.

Pani jednak intuicją własną kobiecą wyczuwa, że tak jechać nie można, tembardziej nie można „wykręcić telemarka".

Nie da się, nie uda się. Już chociażby dlatego, że w drodze tej — krótkiej, ale zawrotnej — można „fiknąć koziołka" i trafić nie tam, kędy się zamierzało: zamiast do serca, np. na drzewo, na pasącą się dziką kozę... t. j. przepraszam, oswojoną kozę i nie pasącą się, bo teraz śnieg (skompromitowałem się), lub oswojonego górala... (Redaktorze wybacz!).

Gdy mówię do Pani, w dodatku z tylu zastrzeżeniami, żeby nie było fermentacji, żeby nie było kompromitacji, negacji, irytacji, żeby nie było więźb, Huitfeldów, nawet nart samych, tylko odrazu „telemark", tracę wątek myśli. Daruj, łaskawa Pani. Ja wiem, że postaci Twojej zazdroszczą „Br. Jabłkowscy i S-ka", jak powiedział... powiedział — mniejsza zresztą o to, kto powiedział.

Narty właściwie są rzeczą niepotrzebną: krępują wrodzoną Twoją ruchliwość i powodują częste, choć nieszkodliwe upadki, przytem są nieznośnie ciężkie. Należą jednak do spraw czy przedmiotów objętych sportem, musi się przeto je tolerować. Mój Boże, tyle rzeczy na świecie się toleruje: i małą Dzidzię, miłego, choć nieznośnego bębna, i telefony, i Marysię, i męża, i krawczynię partaczkę — można się i z nartami pogodzić.

Do nart potrzebny (koniecznie) jest strój odpowiedni. O tem bardzo zajmująco i ze znajomością rzeczy pisze

p. Nina, nie będę zatem tej sprawy poruszał. Zauważę tu tylko ogólnikowo, że strój może być uszyty na wzór ubioru męskiego albo kobiecego, granatowy lub barwny, obcisły lub swobodny — to zależy od sezonu, ściślej mówiąc od tego, ile zleżałych materjałów z poprzedniego sezonu posiadają kupcy w Paryżu i co, według ich wskazówek, skomponują dla puszczenia w świat owych zaległości płatni przez nich specjalni artyści od siedmiu i dla siedmiu boleści mężów całego świata.

Ubiór może być swobodny lub krępujący ruchy — powinien jednak zawsze robić wrażenie — to najważniejsze. Dla utrzymania włosów w porządku, na głowę wciąga się pończochę („piętę" i resztę ucina się). Na nogach (nie mówię: nóżkach, ażeby nie być posądzonym o niepoważne traktowanie przedmiotu) koło kostek powinny być — również koniecznie — kolorowe taśmy z frendzlami, takie, jak noszą chłopi (fi donc, ale trzeba) w Norwegji.

Tak ustrojona narciarka może jechać. Nie radzę dla zjazdu wchodzić wysoko, bo narty, jakkolwiek duszy nie mają, ale ponoszą jak dziki koń. Najlepiej trzymać się doliny. Dla zjazdu można wchodzić na góry, niewyższe wszakże od dziesięciu metrów.

Wybacz, piękna Pani, że myśl Twoją obarczam takiemi szczegółami, mam jednak na względzie powodzenie Twe i przyjemność, której bez szkody dla siebie doznać możesz w uprawianiu tego z niczem niezrównanego sportu. Sam bowiem znam się z nartami i wiem, ile metr każdy wzniesienia daje rozpędu, tak dobrego w sprawach codziennego życia, a tak zgubnego niekiedy na nartach.

Gdy zaczniesz już jechać, staraj się utrzymać równowagę. Równowaga w pojęciu narciarskiem to nie jest to samo, co w życiu. Kiedy np. p. Dyonizy nie ukłonił Ci się na Krakowskiem Przedmieściu dlatego poprostu, że nie zauważył Ciebie, gdyż był zajęty rozmową z dwiema nieznajomemi Ci paniami, powiedziałaś do przyjaciółki: „osioł". I to była równowaga, właściwie jej wyraz.

Gdybyś jednak dała taki sam wyraz równowadze na nartach, to, po pierwsze, mogłabyś niesłusznie obrazić p. Gutka, który przed chwilą przypiął Ci narty, a powtóre, słowo to nie uchroniłoby Cię od niechybnego upadku — nie tu, to tam, wyżej lub niżej, prędzej czy później. Równowaga na nartach to rzecz osobliwa. Nie potrafię jej określić. Jest to coś w rodzaju trzymania się za powietrze, coś w rodzaju flirtu z prawem Njutona (po polsku Newtona) albo wyznania miłości do własnego męża. Rzeczy do pewnego stopnia transcendentalne.

Najlepiej w takich razach oczy szeroko otworzyć, rękami wykonywać ruchy, stosowane przez ludzi, zamieszkujących brzegi jeziora Tanganajka w czasie tańca (w przyszłym sezonie podobno ma być wprowadzony do warszawskich salonów), poczem w śnieg upaść i czekać aż przyjdzie p. Gutek. Więcej wskazówek udzielić Ci nie mogę, bo sam nie wiem, co dalej będzie.

Telemark jest to piękny łuk, zatoczony przez narciarza (rkę — tak się pisze) w czasie jazdy, wymaga jednak dość długich prób i ćwiczeń. Nie jest on konieczny. Jechać na nartach i dojechać do zamierzonego celu można również bez telemarka. Najważniejszą rzeczą na nartach jest rozpęd, impet, tupet i nagłe zaskoczenie (nie — tak się pisze) przyjaciela, którym w tym wypadku, oczywiście jest śnieg.

O śniegu jeszcze słów kilka.

Śnieg bywa puszysty, ziarnisty, suchy (to gorzej), lub mokry, zawsze jednak jest głęboki i miękki. Wiesz dobrze, o Pani, że z takim nieprzyjacielem bez trudu dasz sobie radę. Gdy znajdziesz się—jak powiedziałby poeta—w jego objęciach, nie bój się i pamiętaj zawsze o jego właściwościach, które wyżej podałem.

Ponieważ śnieg jest głęboki, nic złego Tobie, jako istocie słabej i bezbronnej, nie uczyni, ponieważ jest miękki, mogłabyś za nos go wodzić. Nosa wszakże on nie ma, więc podniósłszy się przy pomocy p. Gutka poprostu podepczesz go wdzięcznie swemi nartami i dalej pojedziesz.

W ramach krótkiego tego szkicu wyczerpałem, zdaje się, istotną treść narciarstwa, sportu, naprawdę niemającego w tej dziedzinie sobie równego.

Teraz, gdy wiesz już, o piękna Pani, jak, gdzie i co na nartach czynić należy, ślę Ci życzenia, któremi narciarze zwykle się pozdrawiają:

„Dobrego śniegu"! Gdyby zaś śniegu w Zakopanem nie było, możesz z nartami na plecach p. Gutka chodzić po błocie od jednej Trzaski do drugiej, zaznaczając w ten sposób, iż nowe prądy myśli polskiej bynajmniej nie są Ci obce. Że wiesz, co to jest sport, co narciarstwo, że sama jesteś sportsmenką (po polsku sportsmanką).

A zatem: dobrego śniegu!

Tu następują zwykłe na końcu listu grzeczności.

M. Zar...

ROSŁAN WSRØD DAM.

(Nowela zakopiańska, zimowo - wysokogórska, narciarsko-lekkoatletyczna, zupełnie pozbawiona erotyzmu. Zaleca się umieszczenie tej noweli w wypisach szkolnych dla klasy II-ej).

Pieszczotka w poruszeniu. Podłogi trzeszczą. Schody trzeszczą. Drzwi trzeszczą. Stare panny trzeszczą.

— Rosłan przyjeżdża! Rosłan przyjeżdża!

Bieganina.

Nietyle sensacyjne jest to, że słynny narciarz i taternik przyjeżdża do Zakopanego — (dokąd-że, u djabła ,ma jeździć narciarz?) — ile sensacyjny jest fakt, że Rosłan tym razem „zatrzyma się" w „Pieszczotce". Tak, proszę państwa, w „Pieszczotce".

Nie w „Strasznym dworze", nie w „Miramarze", nie w „Ta — na — to", nie w „Perskiem oku", ani u Karasiewicza — jeno w „Pieszczotce"!

Zresztą, za pozwoleniem! — Niema się znów czemu tak bardzo dziwić. — Czemże nie dorównywa ten pensjonat innym pensjonatom? Czy nie widać może z okien jadalni... Giewontu? — Czy niema Hallu? — Owszem, jest Hall!

— Kto powiedział, że to jest poprostu przedpokój? Napewno ta gruba Pędzichowska z „Libawy"... Oho! Wiemy dobrze, dlaczego tak oczernia „Pieszczotkę". Złości się babsko, że mieszkają u niej same Żydy!

Pani radczyni Kasprzykowska promienieje. No, bo ostatecznie przyjazd Rosłana jest ewenementem. Zrobi pensjonatowi szaloną reklamę. Bagatela! Chłop, jak tur, przystojny, sportsman pierwszej klasy, kawaler... Kawaler! Słusznie promienieje kochana gaździna.

Na obiad jest, jak zwykle: rosół, sztuka mięsa, bruksel-ka. Ale legumina! Legumina!...

— Budyń z sosem szodonowym!

A co? Miał rację Rosłan, wybierając „Pieszczotkę", czy nie miał?

Rozmowa przy stole toczy się zrazu zwykłym trybem. Nie wypada przecież okazywać zbytniego zdenerwowania z powodu...

Tedy konwersacja obraca się koło tematów potocznych: Pogoda... Panna Minia zaczyna doskonale jeździć na nartach... Pannie Wini jest do twarzy w krótkich włosach...

Panna Linia fotografowała się dzisiaj u Stefy... Makuszyński jest przezabawny... Widziano w Kościeliskiej pana Dzimbierskiego w towarzystwie tej... no, tej, z utlenionemi włosami, aktorki...

Ale nagle pan Józio, piegowaty maturzysta, jedyny przedstawiciel płci brzydkiej przy stole, (rozrywają go panie: Aldona, Marja, Helena, Janina, Mira, Róża, Zofja) — nagle pan Józio rzuca mimochodem słowo: Telemark.

— Ach! byłabym zapomniała — odzywa się niedbałym akcentem pani Kasprzykowska: — Dostałam depeszę ze Lwowa. Przyjeżdża do nas na dłuższy czas pan Rosłan, znany narciarz.

— Czy to ten sam, który zrobił w lecie pierwsze wejście na Złamaną Poręcz z północnej strony?

— Ten sam.

— Podobno fenomenalnie skacze? — informuje się pani Aldona głosem znakomicie obojętnym:—Czy to prawda?

— Prawda!

Dłużej już nie sposób panować nad nerwami. Wybuchają, jak lawa, płomienne djalogi.

— ...Tak, proszę pani, bez przewodnika, w sierpniu.

— Dwadzieścia pięć????

— ...Tak, dwadzieścia pięć metrów liny. Zjechał na czekanie, o krok od przepaści!

— ...Bez asekuracji?

— Rosłan? Przecież on ma za sobą pięć sezonów w Dolomitach!

— Czy to prawda, że był w Afryce?

— Owszem, podczas wojny. Wszedł na Kilimandżaro.

Coraz goręcej przy stole. Liberja, t. j. umorusana Kasia i wiecznie senny Stasiek pięć razy usiłuje zdjąć obrus ze stołu i odsłonić sakramentalną ceratę. Naprożno...

— Potem, potem!

„Pieszczotkę" opanowuje istna frenezja.

— Rosłan? Dwa majątki na Podolu.

— Rosłan? Nikt tak nie tańczy shimmy, jak Rosłan!

Smukły, jak sosna... (Nie, jodła, jodła!) — Silny, jak Carpantier... (Przed złamaniem nosa!) — Skacze lepiej, niż Mueckenbrunn... (Czy Bujak!) —

— Niezłomny!

— Niezłomny, niezłomny — (marzą panie: Aldona, Marja, Helena, Janina, Mira, Róża, Zofja).

Złamany jest zato pan Józio. Trzy razy usiłował dotknąć pod stołem kolana sąsiadki, co byłoby przyjęte kiedyindziej dosyć dobrze.. Zmierzono go wzrokiem. — Jakim wzrokiem! To spojrzenie powiedziało mu wyraźnie:

— Smarkacz!

Więc, odsuwając nagle krzesło, wychodzi z jadalni pan Józio, mając „śmierć w oczach". Niestety! Nikt tego nie widzi...

Pani Kasprzykowska porusza bardzo delikatny temat. Hm... Jak to będzie z pokojem dla pana Rosłana? Jest wprawdzie jeden pokój wolny, ale nie widać stamtąd Giewontu... On, co tak uwielbia Tatry...

Z pokoju pani Aldony doskonale widać Giewont. Pani Aldona oświadcza naraz, że gotowa jest odstąpić swój pokój panu Rosłanowi. — Ach, mój Boże... Prosta towarzyska uprzejmość... Tylko stawia za warunek, że przeniesie się do pustego pokoju obok. No, do tego, który „leży" obok.

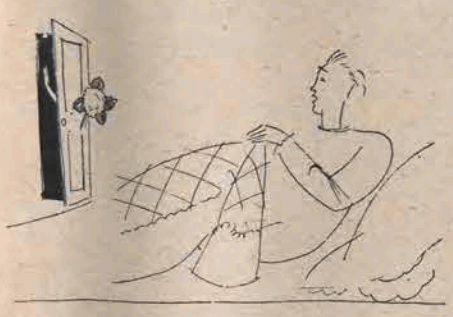

Nieszczęsna pani Aldona! Zanim się spostrzegła, już nie pokój „leży" — ona leży! I jak jeszcze leży!

— To dziwne — cedzi znana z ostrego języka pani Marja: — przedtem pani kochana ani rusz nie chciała tam mieszkać... Czyżby sąsiedztwo pana Rosłana miało dla pani tyle uroku?

Panny: Minia, Winia, Linia, krztuszą się ze śmiechu. Wiedzą, że nie mają żadnych szans w tym turnieju. Niechże się przynajmniej te podłe mężatki poczubią!

— Nie widzę w tem nic dziwnego — broni się, ponsowa, jak mak, pani Aldona: — Przedtem bałam się spać sama w narożnym pokoju... Teraz, gdy obok mnie będzie mieszkać mężczyzna, będę się czuła lepiej!

Pani gaździna odracza rozprawy do kolacji. Rosłan przyjeżdża dopiero jutro, popołudniu. Można się będzie do tego czasu porozumieć.

Panie rozchodzą się do swych pokojów.

Gaździna przez chwilę walczy z wielką pokusą; takby chciała umieścić Rosłana obok swojego pokoju, na parterze... Miałby wejście wprost z Hallu... Nie, niemożliwe. — Te baby narobiłyby piekła. Przeniosłyby się może nawet do innych pensjonatów. — Nie można!

W międzyczasie zaglądają do pani radczyni poufnie i po kolei — wszystkie mężatki. Każda robi jakąś propozycję, tylko, że wszystkie propozycje są zbliżone do propozycji pani Aldony...

Ostatecznie, tworzy się po kolacji coś w rodzaju „Komisji rzeczoznawców". Staje na tem, że „Szczęsny Rosłan" zamieszka osobno, w malutkim domku jednoizbowym, stanowiącym, że się tak wyrazimy, aneks „Pieszczotki". Będzie tam miał idealną swobodę. W małej, własnej sionce będzie mógł wygodnie umieścić swe sprzęty turystyczne i narciarskie: czekany, ciupagi, liny, buty, raki, haki, plecaki, koce, race, lunety, sygnały, sztucery, aparaty fotograficzne, termosy, termometry, barometry, namioty — no, i narty. Narty przedewszystkiem!

— Czy i siatki na motyle?

Oczywiście, że nie. W zimie są niepotrzebne w Tatrach. Co innego, Kilimandżaro!

Komisja rzeczoznawców zadowolona jest ostatecznie z formuły odszkodowań. „Ani mnie, ani tobie". Wszystkie panie udają się na miejsce. Stwierdzają, że „orzeczenie" nie wypadło znów tak bardzo głupio. Aneks „Pieszczotki" leży blisko, a zarazem jakby na uboczu. Wejścia nie widać z pensjonatu.

— Może to i dobrze?

Zaczem „Pieszczotka" udaje się na spoczynek. Panie są mile podniecone i zdenerwowane. Nikt nie idzie tego wieczoru na dancing.

Wszystkie śpią źle. Łóżka trzeszczą. Podłoga trzeszczy. Drzwi trzeszczą...

. . . . . .

Długo w noc mielą strasznemi ozorami panny Leokadja i Monika, leciwe kuzynki radczyni. Obie przeszły już lata balzakowskie. Siedzą w tem wstrętnem Zakopanem w lecie, siedzą w zimie i pomagają „Tej poczciwej Łusi" w prowadzeniu pensjonatu. Od ciągłego patrzenia na Giewont skwaśniały na ocet. Gór nienawidzą. Nienawidzą górali, furek, turystów, narciarzy...

Siedzą tu, bo muszą. Inaczej nie miałyby z czego żyć.

— Rosłan! Ha, ha, ha... — Sodoma — Gomora!...

II

Odkąd zamieszkał w „Pieszczotce" Rosłan, Szczęsny Rosłan, jaśniej świeci słońce.

Razem, zbielała nieziemska karnacja niewieścich dekoltów, pogłębił się szkarłat figlarnych warg, zaróżowiły się paznokietki, rozdokazywały rzęsy...

Houbigant, Cotty, Lohse, Komispol, Puls i... skład apteczny Tomaszewskiego — zarabiają krocie.

Pani Aldona pojechała do Krakowa, niby to na spotkanie męża, w rzeczy samej — po peignoir. (Gdzie Kraków, gdzie Mejszagoła?)

Pani Marja kupiła sobie cztery pary prawdziwych jedwabnych pończoch.

Pani Helena...

Nosi się teraz suknie-koszulki. Więc wszystkimi kolorami koszulek zagrała „Pieszczotka": kolorem zawstydzonej wiśni, naiwnego szpinaku, złośliwego grynszpanu, jarkiego bursztynu, utopionego koralu...

Żorżety, marokeny, krepdeszyny, welury, tafty, fulguranty, defiguranty...

Nie mówiąc już o kratach: duże, małe, proste, skośne, apokaliptyczne...

A koafiury!

Bubenkopf, Biedermeier, Burne-Jones, Mańka-Gwóźdź...

A dessous!

Szczęsny Rosłan chodzi między tem wszystkiem, jak pijany. Zrazu ogarnął go blady strach. Ale po paru dniach pobytu w pensjonacie zaczadział. Pani Mira gra mu całemi dniami shimmy „W palarni opjum".

Pani Aldona łupi w międzyaktach Blues „Na falach szału".

Skutek jest taki, że Rosłan któregoś dnia przypasuje narty i chce się przejechać kwadransik, ale o trzy kroki za pensjonatem wali się na równej drodze — on, mistrz nart, fenomenalny skoczek, rekordman!... Tak go te shimmy i Bluesy wzięły...

Daje spokój nartom. Idzie z paniami do Tatrzańskiej i tańczy przez sześć godzin...

Zrazu, po przyjeździe, sprawił paniom pewien zawód Spodziewano się go w pluszowym, albo lodenowym dres'sie — w grubych swetrach — przyjechał w najzwyczajniejszej marynarce. Lin nie przywiózł. Czekanu także nie przywiózł. Gdy go spytano o raki, odpowiedział z uśmiechem, że je lubi... w potrawce.

Ale potem!....

Wynikła raz żartem kwestja siły muskułów. Schwycił wówczas na ramiona panie Aldonę i Marję (150 kilo żywej wagi) — i zaniósł je bez wysiłku na drugie piętro „Pieszczotki". To rozumiem!

Gdy się jeszcze okazało, że wprawdzie Szczęsny Rosłan zna Afrykę tylko z fotografji, że zato zrobił istotnie wejście na Jungfrau — zadecydowały damy, że Jungfrau zupełnie nie ustępuje górze Kilimandżaro, a wchodzenie na nią przynosi zaszczyt mężczyźnie i ma jakiś wdzięk specyficzny...

Oczywiście wszystkie się w nim kochają.

Erotyzm skwierczy we wszystkich szczelinach i spojeniach „Pieszczotki", zupełnie, jak żywica, którą się poci ta zacnie zbudowana willa w letnie dnie upału.

Co krok, czyhają na Szczęsnego Rosłana jakieś sidła. Co krok!

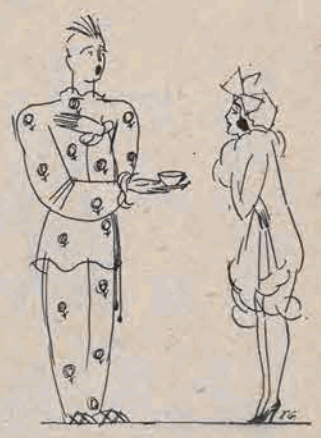

Ledwo przetarł oczy — wpada przez uchylone dyskretnie drzwi — pęk fijołków alpejskich. (Botaniczna nazwa: gduły).

— Chlup, prosto w kawę!

(Djabli nadali!).

Idzie, jako — tako ogarnięty, reklamować drugą szklankę kawy.

Spotyka na kurytarzu panią Aldonę w nieprawdopodobnie kuszącym negliżu.

— Tak wcześnie?

Pani Aldona pachnie jeszcze snem. Jest urocza. Tylko, dlaczego ta kobieta ma wiecznie podkrążone oczy..?

Szczęsny Rosłan idzie dalej. W pensjonacie, zdaje się, jeszcze śpią. Nie dziwota. Wczoraj tańczono w Jamie do czwartej rano...

Wchodzi do kuchni.

Rozmamłana Kasia myje podłogę. Podetknęła sobie kieckę powyżej kolan. Na widok Rosłana wybucha idjotycznym śmiechem:

— Hi, hi, hi, hi...

(Poco ta dziewczyna pokazuje całe łydki?)

— Kasiu, proszę o kawę.

— Jakoz fcecie kawy.—Hi, hi, hi—kie wom psyniosłam?

Rosłan udziela potrzebnych wyjaśnień.

Wraca do swojego aneksu. Przechodząc przez „Hall", spotyka gaździnę.

Pani radczyni ubrana jest w piękny satynowy peignoir Tut - Ank - Amen...

— O, ranny ptaszek z pana! Jakże się spało?

— Dziękuję, doskonale.

— Coś mi pan mizernie wygląda.

— Czuję się znakomicie.

— Powinien pan więcej odpoczywać...

— Ależ ja nic innego tutaj nie robię, proszę pani!

Pani Kasprzykowska grozi mu figlarnie paluchem.

Poczem, najniespodziewańiej w świecie, wzdycha:

— Ach, jacy wy, mężczyźni, jesteście szczęśliwi...

Rosłan mimowoli wzrusza ramionami i wraca do siebie. Po drodze spotyka jeszcze panie: Helenę, Janinę, Mirę, Zofję...

. . . . . .

Po dwóch tygodniach rzeczy tak się mają:

Powiedziano mu dwanaście razy: „Ty łobuzie roskoszny!" — Piętnaście razy: „Pan jest łotr, ale piękny łotr".— Sto razy: „Podoba mi się pan do szaleństwa!"

Najwięcej niepokoi Rosłana pani Aldona. Wdarła się któregoś wieczora do jego pokoju, rzuciła mu się na szyję, wycałowała, wycałowała, wycałowała — a potem, gdy już gotów był postąpić z nią, jak gentleman—raptem jęknęła ze śpiewną kresową histerją: „Ja kocham mojego męża!" —gdy mu zaś na skutek tej rewelacji opadły... ręce, zawołała: — Co pan ze mną wyrabia?!" — i wybiegła.

Wobec tego Szczęsny Rosłan przyszedł do wniosku, że ma właściwie tylko trzy drogi:

I) Albo wybierze jedną z pań i nawiąże z nią namiętny romans — (pozostałe zawrą wówczas przymierze i zgładzą jego i kochankę za pomocą jakiejś trucizny, działającej piorunująco) —

II) Albo wybierze je wszystkie i będzie miał dwanaście romansów — (co w rezultacie z l i k w i d u j e go w tempie równie szybkiem) —

III) Albo strzeli sobie w łeb!

Wobec czego zdecydował się iść na tydzień w góry.

III

Oczywiście, dużo było przesady w opowieściach o niezwykłych czynach Rosłana. Nie uczył Chmielowskiego taternictwa. Nie dawał lekcji wspinaczki Swierzowi. Nie brał na barana Znamięckiego. Nie odprowadzał za rękę do schroniska zabłąkanego i spłakanego Zaruskiego...

No, i co do nart, też.

Mueckenbrun, Bujak, Krzeptowski, conajmniej dorównywali mu klasą.

Jedyną okropną historję, jaką miał w górach (Halny złapał go dwa lata temu na grani Mięguszowieckiego i trzymał między niebem a ziemią przez pięć godzin) — już sto razy opowiedział.

Zresztą, historja ta jest zupełnie blada wobec historji z juhasami. (Według wiadomości pań z „Pieszczotki", miała się zdarzyć pewnemu geologowi, który szedł ze swoją żoną na Garłuch, taka przykrość: Węgierscy juhasi napadli na nich, żonę mu zgwałcili i strącili w przepaść, a geologa przywiązali do skały, gdzie go skubały orły...)

Próżno usiłował Rosłan przekonać panie, że chyba tak nie było. Oczywiście, nie wątpił o prawdzie tej mrożącej krew w żyłach opowieści, ale zapytywał, czy to jest może jakaś reminiscencja z „Popiołów", ożeniona z anegdotą o Prometeuszu..?

— Daremne starania. Zakrzyczano Rosłana.

. . . . . .

Jako człowiek szybkich decyzyj, zawiadomił Rosłan tego samego wieczora panią gaździnę, że zamierza wyruszyć na tydzień w góry. Śnieg był dobry, pogoda pewna...

Na kolację nie przyszedł. Zjadł u siebie pięć jajek sadzonych, wypił dwie szklanki herbaty, kieliszek koniaku, wysmarował sobie stopy łojem salicylowym, narty wysmarował innym jakimś łojem (włazolem, czy złazolem— to już wkracza w tajniki profesji narciarskiej) — zaczem, zgasiwszy światła, usnął.

Szturmowały do „Aneksu" wszystkie panie. Napróżno.

Tylko Kasia, której Rosłan polecił się był obudzić o szóstej rano, chichotała z uciechy:

— Pozabijajom się baby bez ten tydzień!

. . . . . .

Bywają zimą ranki w Tatrach tak przecudowne, że się ich nie da opisać żadnemi słowy!

Wysłane w świat metafory wracają, jak niepyszne... Epitety kulą się do nogi, jak skomlące szczeniaki... Jubilerskie ozdoby zawodzą... Perły, brylanty, opale — są do niczego!

Najlepiej się odrazu przyznać, że człowiek jest poprostu durny z zachwytu:

— Jest bosko!

Na smrekach sadź, śniegi, jak bajka, niebo...

W taki właśnie ranek maszerował Szczęsny Rosłan przez Boczań, minąwszy szczęśliwie zdradliwe Kuźnice. Nie spotkał — Bóg strzegł — ani jednej damy.

Koło dziewiątej dojechał na halę Gąsienicową. Obszedł zdala schronisko, przed którem już rozdzierały się jakieś cepry i usiadł sobie nieco wyżej, w kopnym, pysznym śniegu. Rozważał dalsze projekty. Hm... Niema się co pętać po polskiej stronie... A gdyby tak odrazu, nie namyślając się długo, machnąć na Węgry?... Doskonale. Tylko jaką drogą?...

. . . . . .

Nie wiedział, nieszczęsny, że dookoła czai się zdrada. Że po śladach jego podąża chutliwa zakopiańska Astaroth, gorączką dysząca...

Jechały — bo za nim wszystkie. Cała „Pieszczotka".

IV

Nie naszą jest winą, jeśli ten rozdział tragiczny, nieodwołalnie ostatni, przypomni Wam księgi Genezis... Jeżeli stworzymy pozory plagjatu...

Aldona wzięła Bachledę, Marja wzięła Obrochtę, Helena wzięła Gąsienicę, Janina wzięła Roja, Teresa wzięła Mroza, Mira wzięła Buca, Zofja wzięła Krzeptowskiego, Winia wzięła Galicę, Minia wzięła Parzenicę, Linia wzięła Sobka...

A gaździna, nie w ciemię bita, wzięła bilet do Szmeksu. Do „Smokovca". Dla pewności. Tam go będzie czekała!...

Pojechała naokoło, spotykać Szczęsnego Rosłana po tamtej stronie.

. . . . . .

Stało się tedy, że w ranek iskrzący, gdy słońce zaczęło rzucać na ośnieżone Tatry garście złotych włóczni — wyjechał z Defilé, wiodącego na halę — niejako z Termopil, źle strzeżonych — sznur sań.

Niewiadomo, jaki Efialtes zdradził tym paniom miejsce pobytu Rosłana.

Dość, że go znalazły!

Aldona, powożona przez Bachledę, Marja, powożona przez Obrochtę, Helena, powożona przez Gąsienicę... Wszystkie, wszystkie!

Jako strzygi, głodne krwi męskiej, obległy siedzącego na górce, docna zgłupiałego Rosłana...

Porwał się na nogi, chciał im zwiać — już nawet kijki oba od nart uniósł lekko w górę, żeby się nimi odepchnąć — aliści — — —

Drogę barykadowały sanie góralskie. Woźnice byli najoczywiściej przekupieni. A i z oczu pań bił zimny upór i męstwo, nie cofające się przed żadnem szaleństwem, byle tylko dopiąć upragnionego celu!...

Zrozumiał Rosłan, że walka już przegrana.

. . . . . .

I wtedy oszalał.

. . . . . .

Gąsienicowa hala nosi odtąd miano — Babiej hali.

Straszy tam. Turyści omijają starannie to miejsce. Górale opowiadają, że ukazuje się tu często człowiek szalony, wydający niesamowite rechoty, kwiki i rżenia...

Gąsienica Sieczka młodszy mówi:

— Wicie? Kotłuje się, jak we młynie, na totej hali. Niby cicho, piknie — fajnie, a tu, wicie, nagle jak zarży — jak ogier w Klimatyce. — Hej!

Buc poucza ceprów:

— Złe.

Obrochta się pośmiwa:

— Może i nie złe, ale straśnie jurne...

Prawdą zaś jest, że od owego pamiętnego dnia na Hali i na turniach bliskich, żyje człowiek całkiem nagi, a wedle niego rój urodziwych dziwożon — czy strzygów? — niewiadomo...

Zimową porą zjeżdżają z Kościelca, obrywając lawiny, obrzucają się pigułami ze śniegu, gonią, zbytkują...

Zawsze: podwójny ślad norweskich nart — i wiele śladów drobnych śniegowców.

A letnią porą — dokazują po żlebach, w parne lipcowe noce legają po kolebach albo po półkach trawiastych, wysoko nad doliną zawieszonych...

Chichoty... Westchnienia... Krzyki...

. . . . . .

Radczyni Kasprzykowska czeka do dziś dnia w Szmeksie.

. . . . . .

„Pieszczotkę" prowadzą panny: Leokadja i Monika.

Zdzisław Kleszczyński.

CZERWONY BOBSLEIGH

Czerwony bobsleigh przemknął raz przez tor
i pozostawił za sobą — zdumienie.
— Kto go prowadził? Oszalały Tor?
Czy jaki półbóg? Czy nadludzkie cienie..?

Ledwo zgrzytnęły płozy z twardej stali,
poleciał. Zniknął. Runął do Persefon!
Niebawem krótko zadzwonił telefon:
— Allo... Start? — Meta. Właśnie przyjechali!

Dokoła toru gromadzi się tłum.
Domysły... Szepty.... Podziwy... Zachwyty..,
— To był Janosy! — To był Van der Blum!
Vonacek! Prycek! Nbrdil! Vismenity!

Czy Vismenity, czy nie Vismenity,
rzecz oczywista, że się zdarzył skandal!
— Czerwony bobsleigh, to wierutny wandal:
— Rekord światowy został dziś pobity!!!

— W chronometrażu zaszedł może błąd?
Nic podobnego! Chorągiew na maszcie!
Książęta sportu! Laury w tyglu prażcie!
Kompromitacja! Awantura! Swąd!

Telegraf jęczy. Telefony trzeszczą.
„Minuta, cztery!" (Dawniej: dwie i sześć...)
Mueller, mistrz świata, ma minę złowieszczą...
— Kreuzdonnerwetter! Nie będzie co jeść..!

— — — — — —

A prawda dziejowa, ta nieubłagana,
mówi: W tym bobie jechało (pardon!)
Trzech małych synków pana kapitana
i guwernantka, panna Tourbillon.

Mitra.

Dworze rodzinny w zimie

Tubądzinowi 5.I.1924 r.

Słyszałam, żeś szatę wdział nową,
parcianą płótniankę zimową,
na jakiś obrzęd krótki,
na jakiś okres inny, dworku rodzinny!

Słyszałam, że zdarto ci bluszcze
z drzwi, gzymsów i wiotkich podcieni,
że już cię nie rumieni
poemat twój roślinny, dworku rodzinny!

Żaden liść przed oknem nie tańczy
sarabandą wkrąg pomarańczy,
nie szemrzą tkliwie drzewa
madrygał swój niewinny, dworku rodzinny!

Sanie dziś wąwozem rwą zwinnnym
i lękliwie w takt grają płozy...
Serce moje drży z grozy,
byś mu nazbyt był gminny, dworku rodzinny!

Tłuką się żałośnie czynele,
że w starczej nicości tak wiele
winien będziesz zawodu
młody dotąd, wyżynny, dworku rodzinny!

Jechałam — zdawało się — krócej — —
— — — — — — — — — — — —

Oto w białej stoisz peruce,
lecz wciąż ten sam, co wczoraj:
dostojny i dziecinny, dworku rodzinny!

Ta sama twarz pańska i młoda,
kłamliwy i słodki ten sam cud,
upajający jak miód
w fermencie swym wciąż czynny, dworku rodzinny!

Zima nie skrzywiła ci twarzy...
Daleko zawieja się swarzy
za tobą. Dziękuję ci!
Nic mi nie jesteś winny, dworku rodzinny!

M. J. Wielopolska.

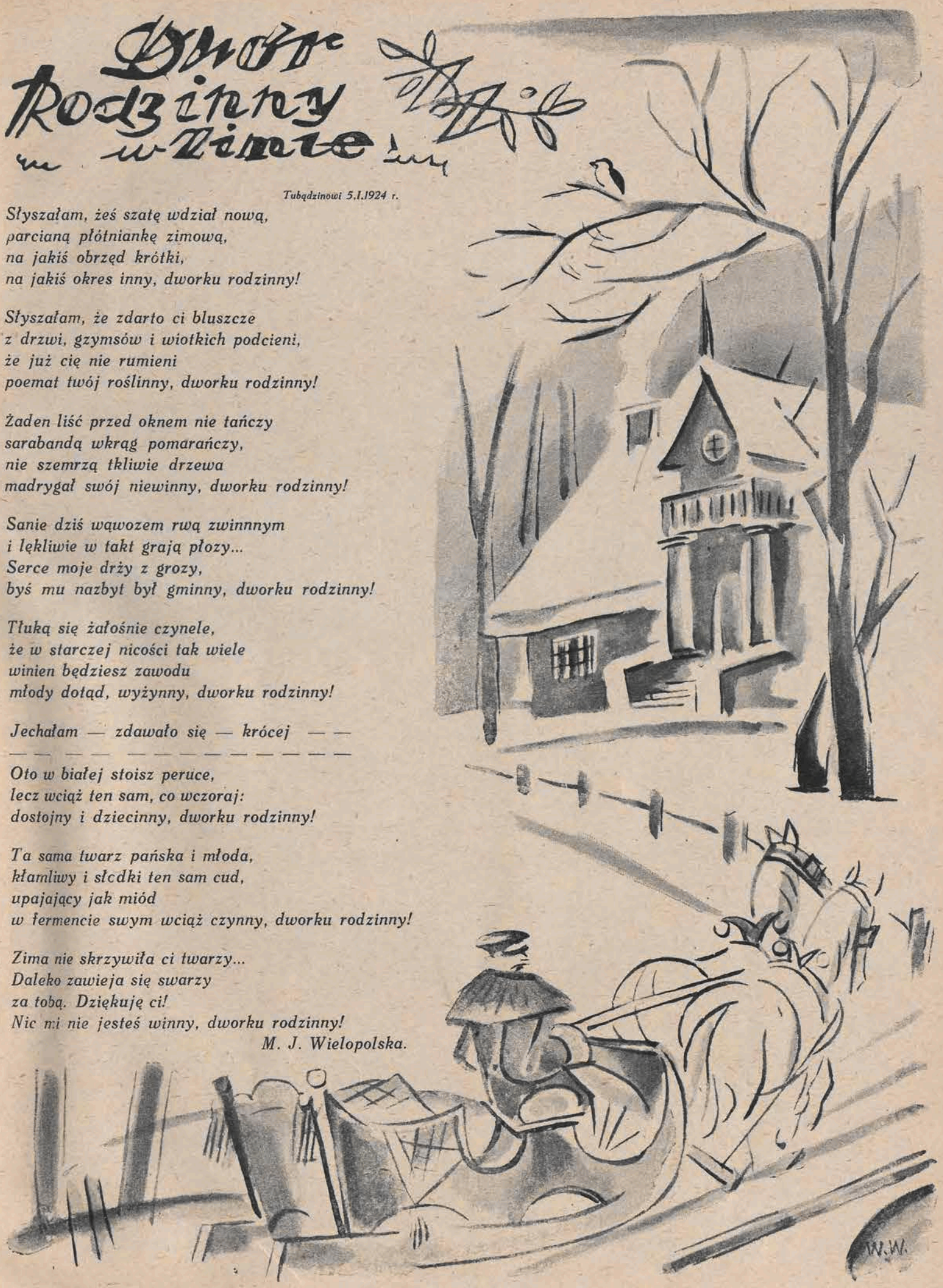

KILKA SŁÓW O NARTACH

Nie tylko w strojach swoich kierują się kobiety modą,— moda panuje u pań także w sporcie.

Nie jest tajemnicą, że najmodniejszym zimowym sportem kobiecym jest teraz narciarstwo. Ilość pań uprawiających narty wzrasta w olbrzymim tempie na całej kuli ziemskiej. Wystarczy porównać dla przykładu frekwencję pań na ślizgawkach Wiednia lub St. Moritz i na zboczach Semmeringu lub Engadinu, — aby się przekonać, że sympatje kobiet skłaniają się ku nartom i że ilość zwolenniczek łyżwiarstwa coraz maleje.

Czem to wytłumaczyć?

Czy jest to tylko pewien kaprys kobiecy, czy też moda ta wypływa z głębszych podstaw?

Jeżeli cofniemy się nieco wstecz i przypomnimy sobie kobietę końca zeszłego stulecia ślizgającą się na łyżwach i zechcemy porównać ją z kobietą współczesną, uprawiającą narty, — zauważymy olbrzymią różnicę nietylko w zewnętrznym wyglądzie tych kobiet, lecz i w ich duchowym całokształcie. Kobiety współczesnej nie może zadowolnić choć rytmiczny, lecz monotonny ruch na ograniczonej przestrzeni lodu, dąży ona do szerszych przestworzy, do nieskrępowanego niczem ruchu, wreszcie do walki z niebezpieczeństwem. Jakiż sport zimowy odpowiada najlepiej tym warunkom?

Jaki sport może dać taką bezgraniczność horyzontu, taką błyskawiczną zmianę wrażeń, taką rozmaitość i szybkość ruchu, wreszcie tyle różnorodnych przeszkód do zwalczania?

Narciarstwo i tylko narciarstwo!

Dlatego tak się garnie do nart kobieta współczesna.

Niepoślednią prawdopodobnie rolę w tym odgrywa także strój narciarski, który, jak wiadomo, jest niepodobny do wszystkiego co kobieta przedtem nosiła i stwarza nowe i nieograniczone możliwości do zastosowania jej gustu i fantazji.

O ile lat temu dwadzieścia typ kobiety na nartach u nas był istotnie rzadkością, o tyle teraz ilość „narciarek" zaczyna dorównywać liczbie narciarzy. W zeszłym roku roiło się od narciarek w górach i na pagórkach Zakopanego, Krynicy, dużo ich także było w Karpatach. W zawodach narciarskich coraz większa liczba pań bierze udział, niektóre z nich skutecznie konkurują z panami.

Tak, najlepsza nasza narciarka pani Ela Michalewska-Ziętkiewiczowa, z Zakopanego, zdobywa I nagrodę w skokach senjorów w Biała-Bielsko, II nagrodę w skokach senjorów w Worochcie (1922), pozostawiając za sobą kilkunastu panów ma także 5-te miejsce w biegu z przeszkodami w Worochcie i 5-te miejsce w skokach senjorów II-ej klasy w Jaworzynce (1923).

ODSKOCZNIA W ZAKOPANEM *Fot. Schabenbeck.*

PANI E. MICHALEWSKA - ZIĘTKIEWICZOWA
wszechświatowej sławy mistrzyni narciarstwa.

Choć pani Ziętkiewiczowa jest naszą „extra-klasą" i jedną z najlepszych narciarek Europy — dowodzi to jednak, że narciarstwo jest sportem, w którym kobieta może skutecznie rywalizować z mężczyzną.

Może także ten fakt przyczynia się do popularności tego sportu u „płci słabej"? Pani Ziętkiewiczowa, która zdobyła liczne nagrody na konkursach łyżwiarskich w Wiedniu, — od roku 1912-go zaprzestaje prawie zupełnie uprawiać łyżwy i specjalizuje się na nartach. Do dzisiejszego dnia stawała do 21 zawodów, wygrywając 17 nagród, z tego 14 pierwszych! Jest to rekord do pozazdroszczenia przez każdego sportsmena. Do najlepszych jej czynów zaliczyć trzeba dwa zwycięstwa międzynarodowe w zawodach „Coupe de France" (w Superbagnières, w Pirenejach): zdobyła ona dwie pierwsze nagrody (w biegu pań na 6 klm. i za piękną jazdę), zostawiając w tyle cały szereg najlepszych cudzoziemek.

Pani Ziętkiewiczowa była jedyną kobietą na tych zawodach, która stawała do skoków razem z panami. Pierwszy skok zrobiła doskonały, stojąco, lecz nieszczęśliwie upadła przy drugim, łamiąc sobie nogę w kostce.

Trzeba zaznaczyć, że odskocznia tu była wadliwie zbudowana (za płaski zeskok) i bardzo trudna, wobec czego wielu zawodników odmówiło udziału w skokach, a z 17-tu skaczących trzech uległo nieszczęśliwemu wypadkowi.

Wyniki te przyczyniły się w znacznym stopniu do propagandy sportu polskiego zagranicą. Prócz pani Ziętkiewiczowej brała nagrody zagranicą pani H. Schielowa. Mianowicie na międzynarodowych zawodach w Westerowie w 1922 r. (Czechosłowacja) zdobyła III nagrodę w biegu

pań. W międzynarodowych zawodach w Zakopanem w 1922 r. zdobyła ona pierwszą nagrodę, pozostawiając za sobą panie W. Dubieńską i Borkowską (z Krakowa). W roku zeszłym nie stawała do zawodów.

Pani Wanda Dubieńska, która jest już ogólnie u nas znana jako typ „all-round sportswoman", ponieważ prócz doskonałej narciarki, jest jedną z najlepszych tenisistek i szermierek naszych, — miała też kilka sukcesów zagranicznych: w roku ubiegłym zajęła czwarte miejsce w biegu pań w Westerowie, przy mocnej konkurencji zagranicznej. Zdobyła bieg pań na Międzynarodowych Zawodach w Krynicy w ub. r., zwyciężając Gwizdałównę, Borkowską i Ochotnicką.

Sezon tegoroczny zapowiada się bardzo interesująco. Głównemi atrakcjami będą zawody o Mistrzowstwo Polski w Krynicy w dniach 31 stycznia, 1 i 2 lutego i Międzynarodowe zawody w Zakopanem w dniach 18 — 22 lutego, na które spodziewany jest przyjazd kilkunastu mistrzów zagranicznych. Do biegów pań staną prawdopodobnie wszystkie trzy mistrzynie: Ziętkiewiczowa, Schielowa, Dubieńska i cały szereg młodych zawodniczek.

PANI H. SCHIELOWA *Fot. Schabenbeck.*
znana narciarka przy treningu.

W klasie starszych panów (ponad 32 lata) zapowiada się zacięta walka pomiędzy dawnymi mistrzami: Bednarskim, K. Schielem i A. Zamojskim. Ostatni przyjechał specjalnie na zawody z Paryża, gdzie gorliwie trenował lekką atletykę w „Stade Français". W klasie I-ej będzie wielka walka pomiędzy mistrzem Polski 1923 roku Krzeptowskim, mistrzem Polski 1924 roku Mückenbrunem i dwukrotnym mistrzem Zakopanego Bujakiem, o ile nie zajdzie fakt niespodzianki przygotowanej przez kogokolwiek z młodego narybku narciarzy, który jest pierwszorzędnym (Suleja, Sieczka, Tesseyr, Czerwiński i inni). W skokach ukaże się po

Z ĆWICZEŃ NARCIARSKICH W ZAKOPANEM. *Fot. St. Brzozowskiego.*

rocznej przerwie wielokrotny zwycięsca Roznus, groźnym rywalem jego będzie Kalciński.

Trzeba zaznaczyć, że Zakopane posiada właśnie wykończoną olbrzymią skocznię (na Krokwi, 10 minut od Krupówek), która może uchodzić za największą skocznię w Europie, ponieważ jest większą od skoczni w Chamonix. Wyjadą nasi narciarze także na zawody zagraniczne, aby reprezentować barwy polskie. Wśród tych zawodów dużo się mówi o Mistrzowstwach Europy, które mają się odbyć 12—15 lutego w Czechosłowacji (w Karkonoszach).

Wobec bardzo poważnej konkurencji tylko pani Ela Ziętkiewiczowa może liczyć na zwycięstwo, narciarze zaś powinni się zadowolić zaszczytnemi miejscami. W zawodach narciarskich mogą brać oczywiście udział tylko kobiety o danych lekkoatletycznych.

Stawanie do zawodów wymaga dłuższego i stałego treningu, na co nie każda pani chce i może sobie pozwolić.

AUGUST ZAMOJSKI
znany i utalentowany rzeźbiarz, w oryginalnym stroju narciarskim (łowickie spodnie!).

Lecz dostępnym jest dla każdej pani uprawianie nart, jako turystyki, to znaczy wycieczek na nartach po płaskim lub górzystym terenie.

Szczytem zaś turystyki zimowej są wyprawy wysokogórskie, t. z. na trudnodostępne wzniesienia. Wyprawy takie wymagają już kwalifikacyj specjalnych i odbywają się zapomocą nart, lin raków. Podejście odbywa się na nartach, wspinanie się na szczyty zapomocą raków, umożliwiających posuwanie się po lodzie. Tego rodzaju wyprawy należą do najtrudniejszych w turystyce i wymagają dużo zimnej krwi, odwagi i wytrzymałości fizycznej.

Nie znaczy to bynajmniej, że wśród tych turystów nie znajdujemy kobiet. Wszak wiadomo przecie, że kobieta lubi igrać z niebezpieczeństwem, może więcej aniżeli mężczyzna.

Skilef.

PUŁK. BOBKOWSKI,
znany instruktor narciarski.
Fot. St. Brzozowski.

BIEG PAŃ
przed wyruszeniem.
Fot. Schabenbeck.

To, o czem się nie mówi

Niema wprawdzie śniegu i zima nasza urządza maskaradę à la Nicea, ale sen o nartach i saneczkach nie jest „snem nocy letniej", tylko właśnie „opowieścią zimową" i dlatego w miesiąsu styczniu, bez względu na paradoks przyrody, należy marzyć, myśleć, mówić, no i — — pisać o s-porteczkach.

Tembardziej, że w Zakopanem panie, mimo braku okazji sportowej, nie chcą się wyrzec spodeniek, w których, jak sądzą, bardzo im — — do twarzy. Niejedna „matka dzieciom" przemienia się tedy w cudnego pacholika, przyczem metaformozie tej pomaga niepomierna szczupłość, bezwdzięko wość i krótkie włosy.

Taki efeb jest zazwyczaj przesiąknięty altruizmem aż do szpiku swych kosteczek, gdyż niczego przecież więcej nie pragnie, jak uradować oczy męskie, nie wiedząc o tem, że czyni tym łakomym, a rozczarowanym oczom właśnie przykrość nielada. Szukające bowiem źrenice nie znajdują — nic, prócz pryczes i „powijaków", biegnących systematycznemi pierścieniami po wysmukłych nóżkach.

Ale i tą „wysmukłością" należy się radować, bo o ileż mniej przyjemny byłby widok nóg iksowatych lub wykabłąconych, co przecież zdarza się w najlepszych rodzinach i nawet najpiękniejszym buziom. Cóż bowiem winna buzia, że nogi się nie udały?

Przypuszczam, że winy należałoby raczej szukać... w Anglji, która pod tym względem okazała wyjątkowy brak szowinizmu, szczodrze obdarzając świat narodową chorobą. Możnaby więc tym razem w odniesieniu do Anglji powiedzieć: timeo Danaos et dona ferentes, mimo to jednak rozpaczy oddać się nie godzi, ani też nie należy zerwać ze spodniami. Bo oto moda przyszła w sukurs!

Właśnie ona, która boczyła się dotąd zlekka na sport, gdyż nie uznawał jej zmienności. W tym roku zabrała moda łaskawie głos, aby dać kilka zbawiennych rad zbuntowanym i krnąbrnym poddankom — — z defektem w nogach. A tym razem, Szanowne Panie — Roma locuta causa finita!

Więc nie noście, o ile z waszemi nogami „nie bardzo", spodeniek obcisłych na kolanach, pod pretekstem, że tamują swobodę ruchów i krążenie krwi; nie noście sweterów wełnianych, bo na wypadek małego koziołka, w rzadką tkaninę

wbija się śnieg, poczem dzieje się z nim to, co w znanym wierszu, kiedy „na pierś białą padł śnieżek biały". A nie zawsze to, co służy jako motyw poecie, sprawia przyjemność (niech tam już będzie kiepski rym) — kobiecie.

Więc w zamian za te niepraktyczne, lecz mimo to urocze uniformy sportowe — proponuje moda, tym razem ze skandynawskich czerpiąc doświadczeń, długie i dość luźne spodnie, opięte paseczkiem wokół kostki i kurteczkę z sukna albo żakiecik, z pod którego kokieteryjnie wyziera barwna włóczkowa kamizelka.

Tak uzbrojona na narciarską kampanję sportsmenka, jest więc modnie, dobrze, a nawet od biedy ładnie ubrana i ponadto, wskutek długich spodeń, „urasta" co najmniej na pół łokcia. Tegoroczna sportowa moda jest niemal rewolucyjna i, jak każda rewolucja, niesie swobodę ruchów, rozkrępowanie z powijaków i entuzjazm nowości. Mimo to ręczę, że posiadaczki pięknych nóg okażą się konserwatystkami, a ich reakcjonizm nie będzie pozbawiony dotkliwej złośliwości pod adresem tych pań, które skwapliwie poszły za wskazaniem mody i okryły swoje nogi tajemnicą długich nogawic.

Czyniąc narciarski skok od stóp do głowy, polecam modną czapkę z daszkiem, więc praktyczną jako ochrona oczu. Podwójne obrzeżenie może być zsunięte na kark i uszy na sposób „kominiarek".

Proszę was, Kochane Panie, nie rozpaczajcie zbytnio, że w tym roku nie będziecie już miały sposobności korzystać ze wskazówek mody, gdyż do maja jeszcze daleko i śniegu może być jeszcze powyżej uszu. Bóg, który jest łaskaw dla pięknych pań, nie odmówi im tej przyjemności, choćby z uszczerbkiem wiosennych zasiewów. Wiadomo przecież, że obecnie nie chleb, lecz sport jest podstawą, chlubą, dumą i siłą narodów.

Z takiego też wychodząc założenia, niniejszy artykuł poświęciliśmy temu, o czem się nie mówi. Staraliśmy się śmiałem słowem wyrazić to, na co nie brak wprawdzie w mowie ludzkiej określeń, czego jednak szanująca się pani nigdy wprost nie wypowiada. Niech nam to będzie poczytane za zasługę, iż dla dobra czytelniczek pozbawiliśmy się wstydu i rumieńca, zdobiącego cnotliwą niewiastę.

Nina.

W słońcu zimowem

Prawdą jest, smutną prawdą wszystko to, co pisano złego o Zakopanem: o stosunku ludności stałej do skóry przyjezdnej, o rekordowem niechlujstwie, o najściu „Wszechnalewek" z przyległościami, o towarzystwie od magla, kopyta i ciemnej gwiazdy etc,. etc...

Ale prawdą jest również i to, że nigdzie tak słońce nie świeci zimowe, śniegi nie są bielsze, a niebo bardziej błękitne, jak właśnie tam. I nigdize powietrze tak nie upaja jak wino, jak młode wino, co weseli i odmładza. Godzina, dwie, nart czy saneczek na cudnem tle rozsłonecznionych, jakby wniebowziętych Tatr, kiedy pijanym się jest kompletnie od ruchu, od słońca, kolorów i śniegu, podczas gdy tyle miast tonie w szaro-brudnej mgle świątecznych nudów i histerycznej powszedniości, godzina taka jest godziną cudu, godziną przebaczenia. Natura, jakgdyby stara się poprawić to, co popsuli ludzie.

*

Ze sportów, uprawianych u nas w zimie wymienić należy przedewszystkiem narty.

Nie pozbawione uroku niebezpieczeństwa, nie niebezpieczne jednak, turdne, lecz nie zatrudne, przyjemne od pierwszych kroków, w okresie postępów porywające i wprost fantastyczne, łączą w sobie idealną gimnastykę ciałą, z estetyką ruchów, niemal klasyczną.

*

Bob - sleigh — saneczki ze sterem, są pochodzenia amerykańskiego. Jest to zmodernizowany *„Taboggan"* czerwonoskórych Indjan. Karkołomna jazda po torze pełnym zakrętów, jest niemniej porywająca, jak i niebezpieczna. Słynny tor *„Cresta — Run"* pod *St.-Moritz*, mógłby coś powiedzieć o tem.

„Zdrowsze" o wiele są zwykłe saneczki bezsterowe — wypadki są tu rzadsze, a jazda niemniej za-

wrotna i emocjonująca. Szczególniej, jeżeli się ma za sobą jakiś słodki ciężar, niezbyt jednak ciężki i krzykliwy.

*

Piękny sport łyżwiarski traktowany jest po macoszemu w Zakopanem. Jest to zapewne jedną z form, uświęconego tradycją wodowstrętu. Dużo jeszcze wody upłynie, zanim zrozumiene konieczności pewnych inowacyj i ulepszeń, stworzy z Zakopanego miejscowość, w setnej choć części przypominającą takie *St.-Moritz, Murren, Grindelwald, Davos,* albo francuskie *Chamonix, Font-Rameau, Suchon-Superbagneres,* gdzie wysiłek ludzki w porozumieniu z matką naturą stworzył dla przybywającego z miasta człowieka, tysiące możliwości wszelkich rozrywek, jakich mu brak w jego powszednim, szarym, pozbawionym ruchu i słońca życiu wielkomiejskiem.

*

Sport wszelki, uprawiany nawet przez snobizm mody, ma wiele stron dodatnich.

Odkrywa on nieraz nieoczekiwanie rzeczy radosne, możliwości niespodziewane, płynące z obcowania twarz w twarz z naturą, z przezwyciężania trudności, niebezpieczeństw, a często i siebie samego, z radości poznania innej kategorji uciech, uciech zdrowych, tężyzną olśniewających, przy których bledną i więdną ubogie, alkoholem najczęściej przyprawiane, rozrywki wielkomiejskie.

Ale to jeszcze nie wszystko...

Urok sportów potęguje w znacznej mierze czarujący, pełen niepowszedniości i egzotyzmu strój sportowy, zwłaszcza strój sportowy kobiecy.

„Boyish line" tak pożądana dziś przez większość pięknych i wytwornych pań, nigdzie nie jest bardziej chłopięcą, jak właśnie w strojach do sportów zimowych.

Triumfujący feminizm opanował tu jeszcze jedną placówkę: piękna pani nartuje w spodeńkach.

Są to ze swadą kawaleryjską niemal noszone *„breeches'y"*, albo rodzajem krótkiej spódniczki kryte *„Plus-Fours"*. „Góra" przedstawia się bardziej rozmaicie. *„Fair-Island"* zowią owe popularne *jumpery* i *sweatry*, których deseń i kolorowość niemal barbarzyńska, ma w sobie coś z dalekich, pięknych wysp egzotycznych, pełnych kwiatów i słońca. *Noa — Noa* i śnieg — czyż nie jest to piękne i wzruszające!

Niemniejszem powodzeniem cieszą się kurtki nieprzemakalne z *Burbury*, albo skórzane z *„peau de daim"*, te ostatnie nieraz w żywych kolorach *vert jade* i *geranium*. Wogóle efekty kolorystyczne są tu bardzo na miejscu.

Białe tło śniegów prosi się o nie, młodość manifestuje się niemi!

Czapeczka wełniana albo berecik, długi szal i rękawice, muszą być uzgodnione pomiędzy sobą i dopełniać resztę stroju, bądź ożywiając zbytnią jego monotonność, bądź gasząc tonem obojętnym niepokojącą jego kolorowość. To samo tyczy się owych, tak popularnych na bruku warszawskim (o zgrozo! o prowincjo!) skorpetek, stanowiących wraz z grubem obu-

Czapeczka, sweater. rękawice i szal z wełny białej suto haftowane wielobarwnym ornamentem osnutym na motywach egzotycznej Alaski i Laplandji. Kolory gorące, przeważają Breechesy z „tweed'u" lub „djagonale".

wiem górskiem całość nierozerwalną.

Sztuka operowania kolorem, kontrastem i akcentem podnosi strój taki do poziomu niemal kompozycji.

*

W *St.-Moritz, Chamonix* sezon jest już w pełni. Przypomina to „tydzień mód" w *Dauville* z — tą różnicą, że suknie tu widać tylko wieczorem. Krótki okres męskości wyzyskiwany jest tu w sposób zadziwiający. Zawody „toaletowe" są powodem parokrotnych w ciągu dnia reinkarnacyj. Nie jedna kokietka zmienia parę skór dziennie. To uniform angielski, to coś z eskimosa, to znów jakiś wykwintny *„all over"* z buzią anioła i buciskami rekruta. Szkoda, że nie widziały one naszego górala!

*

Panowie noszą kamizelki wełniane z gładkiemi rękawami z jedwabiu, lub owe sweatry *„Fair-Isl"*. Czapki wełniane *(balaklavas), szale* i rękawice noszone są z mniejszym od pań entuzjazmem— przynajmniej co do kolorów. Anglicy noszą zwykle barwy swych klubów. „Dół" jest zawsze mniej lub więcej w kratkę. „Profesjonalni", że tak powiem, narciarze hołdują strojem szwedzkim, które cechują długie spodnie w kostce owinięte, sukienne kaszkiety i plecaki. Te ostatnie, zdaje się, więcej dla galerji.

J. Z.

Obuwie górskie nieprzemakalne oraz grube skarpetki wełniane zawijane w kostce stanowią całość nierozerwalną i są idealną izolacją od zbyt poufałych nieraz żywiołów śniegu i zimna.

Rys. J. Zaruba.

Rys. J. Zaruba

Kostjum „Two pieces" z home-spoon'u koloru verte jade", obszyty włóczką żółtą. Czapeczka wełniana, szal i rękawice białe w pasy czarno-żółte. Takież skarpetki.

Kostjum nieprzemakalny z „Barburys" z nakładanemi kieszeniami i paskiem. Spodnie: „breeches" sznurowane, czapeczka zamszowa bramowana łuterkiem. Takież rękawice.

Strój sportowy o wpływach góralskich. Bronzowy kubraczek skórzany, obszyty czarnym barankiem i haftowany włóczką niebieską i czarną. „Knickers'y" z home-spoon'u koloru „Banana".

Strój sportowy męski. Sweater bez kołnierza „Fair-Island", czapka wełniana. Spodnie „Plus-fours" z „tweed'u" w kratkę. Pończochy szkockie.

SEZON SPORTÓW ZIMOWYCH W ST. MORITZ

Zimowa metropolja sportu w Europie — St. Moritz—powraca do przedwojennego blasku. Lata wojenne i powojenne, przy ogólnem zubożeniu w krajach Zachodu i wygórowanym kursie franka, były okresem zupełnego niemal zamarcia szwajcarskich stacyj klimatycznych.

Dziś, gdy życie wszędzie powraca do stanu normalnego, odżyły wszystkie te roskoszne miejscowości. Odżył Davos, Gstaad, Villars, Caux, Mürren, Pontresina, Samaden, a przedewszystkiem, największy i najpyszniejszy z nich — St. Moritz. Odżyły i weszły w nowy okres świetności.

DROGA WŚRÓD ŚNIEGÓW. *Fot Chusseau.*

Dziś znowu, gdy tylko lód obejmie jezioro St.-Moritz' kie i śnieg zasypie góry i doliny, gdy lodowce Berniny znikną przykryte śnieżnym całunem, zalewają całą górną Engadinę, tysiące przybyszów z całej Europy i z za Atlantyku. Przybywają z gwarem i rwetesem, rozumiejąc, że wszystkie te miejscowości po to tylko istnieją, by ich zimą przyjmować.

Najwięcej jest Anglików i Niemców. I jednych i drugich nietrudno poznać od pierwszego rzutu oka. Anglicy są zawsze uosobieniem szyku i elegancji. Swetry — bądź barwne, ręcznie tkane, prześliczne, kwieciste swetry irlandzkie, bądź grube białe z charakterystyczną obszywką o barwach klubowych w formie ostrego kąta na piersiach — zdradzają odrazu syna Albionu. Niemcy imitują

PRZEJAŻDŻKA W GÓRACH. *Fot. Chusseau.*

CHAMONIX. *Fot. Chusseau.*

WALC NA LODZIE. *Fot. Chusseau.*

barwność angielskiego stroju sportowego. Kostjum ich jest jednak zawsze krzykliwy, niemile rażący oczy, a postać gruba zdradza stosunki z bawarskiem piwem.

Anglicy najbardziej są usportowieni. Uprawiają sport wszyscy, jak jeden mąż. Od małego dziecka do siwowłosego starca i staruszki, wszyscy muszą codzień użyć sportu w tej czy innej z jego rozlicznych form. Sędziwy arcybiskup Canterbury był w St.-Moritz jednym z najbardziej zapalonych graczy w curling. W Maloi siedemdziesięcioletni biskup anglikański codzień odbywał z małżonką spacer na nartach...

Zato stosunkowo niewielu z tych Anglików jest sportsmanami par excellence — zawodnikami. Większość uprawia sport od niechcenia — tak — między jednym flirtem a drugim, lub najczęściej, jako najlepszą okazję do flirtu.

Jednak i między nimi nie brak sportsmenów wielkiej miary.

Przedewszystkiem w łyżwiarstwie. Na niezliczonych, gładkich jak tafla lustrzana ślizgawkach w St. Moritz uwijają się dziesiątki prawdziwych mistrzów, a wśród nich pierwsze miejsce zajmują dwaj niezrównani akrobaci lodowi, zawodowi nauczyciele, Kanadyjczycy, Taylor i Nicholson. Swą cyrkową wprost jazdą wpro-

„PODCHODZENIE". *Fot. Chusseau.*

wadzają co niedziela w podziw setki widzów.

Obok zwykłego łyżwiarstwa, jednym z popularniejszych tu sportów jest hockey. Ta królewska gra, łącząca w sobie żywiołową walkę i pęd z pięknem i elegancją ruchów, panuje niemal niepodzielnie na boiskach lodowych St.-Moritz. Obok niezrównanych drużyn angielskich — „Lwów Londyńskich", czy drużyn uniwersyteckich Oxfordu lub Cambridge, obok Kanadyjczyków i Włochów, gościła w okresie noworocz-

KATASTROFA. *Fot. Chusseau.*

nym drużyna polska—mistrz Warszawy—Akademicki Związek Sportowy.

Był to pierwszy występ zagraniczny naszych młodych hockeistów. Wyniki osiągnięte były nadspodziewanie dobre. W pierwszem spotkaniu w Maloja, znakomici „Paris Canadians" pobili ich w stosunku 8 : 0 — jak na hockey nienajgorszym, dalej w Pontresinie inna drużyna kanadyjska — z New-Foundlandu —pokonała A.Z.S. w bardzo dla nas zaszczytnym stosunku 6 : 5, wreszcie eks-mistrz Szwajcarji, EHC. St.-Moritz pobił go 5 : 0. Pierwsze i jedyne zwycięstwo odnieśli nasi akademicy nad drużyną „Milano Hockey Club", (3 : 2), pokazując tem, że choć pierwszy raz widzą prawdziwy, zagraniczny hockey — nie są jednak najgorsi, a i najsilniejszym potrafią dzielnie stawić czoło.

Obok męskiego hockeya, gry wymagającej wielkiej odwagi, zręczności i wartości atletycznych, kwitnie na ślizgawkach St.-Moritzu inna gra — specjalnie dla starszych panów — ulubiony przez Anglików curling. Polega on na tem, że ciężkie kamienne, utoczone bryły posuwa się po lodzie tak, by zatrzymały się najbliżej określonego punktu. Przed pędzącym kamieniem towarzysze rzucającego stróżowskiemi miotłami zamiatają gwałtownie śnieg, by „bochenek" łatwiej dobrnął do

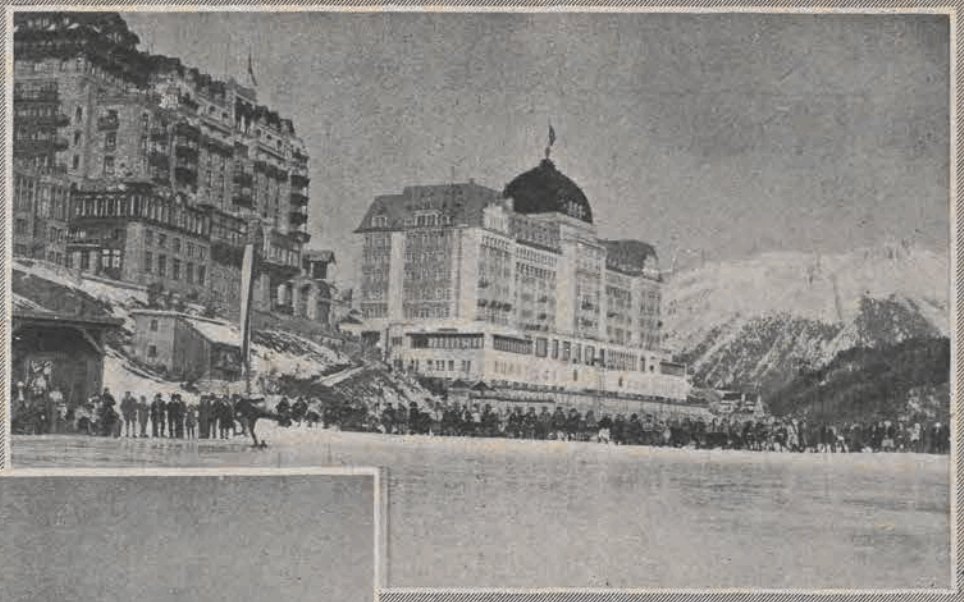

ŚLIZGAWKA „PALECE-HOTELU".

MISTRZ KANADYJSKI HOWARD NICHOLSON.

NA TORZE BOBSLEIGH'OWYM W ST. MORITZ.

HOCKEY NA LODZIE „W ICE STADIUM" W ST. MORITZ.

celu. Gra dla nas nudna i niezrozumiała, potrafi Anglików zapalać w sposób niebywały.

Obok łyżwiarstwa, hockeya, curlingu, narciarstwa i skikjörniku—kwitnie tam inny jeszcze, wspaniały sport zimowy: saneczkowanie we wszystkich jego odmianach. Na saneczkach zjeżdżają tam wszyscy. Większość na zwykłych „davosach" lub „tobboganach" po mało niebezpiecznych torach i szosach, wybrańcy na bobsleigh'ach i jednoosobowych skeletonach po „Creście".

„Cresta Run" to chluba St.-Moritzu, najsłyniejszy tor saneczkowy.

„Cresta Run" ma całą swą historję, nieraz dramatyczną, a w hotelu Kulm są 2 szafy pełne wspaniałych srebrnych puharów, stanowiących nagrody dla jej bohaterów.

Oglądając St. - Moritz — jego tonące w komforcie hotele, jego bo-

DRUŻYNA HOCKEYOWA
Warszawskiego Akademickiego Związku Sportowego.

gate sklepy, godne wielkich stolic europejskich, wreszcie jego idealne urządzenia sportowe, nie można się opędzić jednej wciąż myśli: dlaczego nasze Zakopane upiera się tak zaciekle przy tem, by nie zrobić kroku naprzód w kierunku postępu, by odbiegać jaknajwięcej od kultury stacyj klimatycznych Zachodu. *T. Semadeni.*

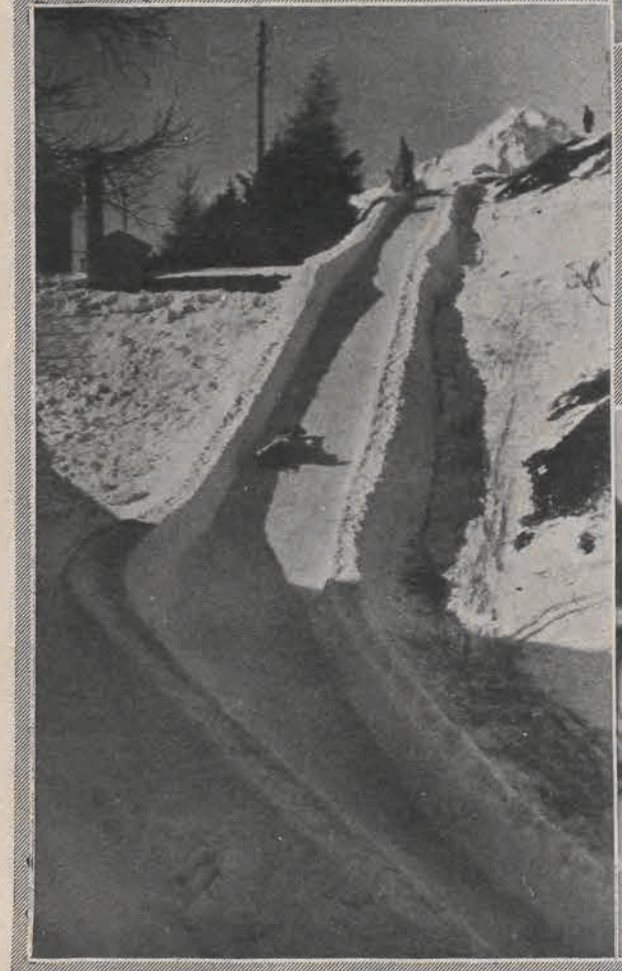

„CRESTA RUN"—TOR SKELETONOWY W ST. MORITZ.

SKOK NA SKELETONIE.

BIAŁY SEZON
w
SZWAJCARJI

NA PODNIEBNYCH SZCZYTACH.

Wypoczynek narciarskiej kompanji na szczycie Buchlenhornu, skąd roztacza się czarowny widok na Aela, Fingerhorn i Michel.

SMAROWANIE NART.

Niejednokrotnie wypada zatrzymywać się w drodze i starannie wysmarować narty, które bardzo szybko rozgrzewają się przy jeździe i nabijają się śniegiem.

ŚRÓD BIAŁEJ CISZY...

Nawet łagodne wspinania się zboczami górskiemi są dość uciążliwe. Zato wkrótce czeka narciarza największa roskosz — szybkie, posuwiste zjeżdżanie w dół.

WESOŁE DAMSKIE TOWARZYSTWO... W MĘSKICH STROJACH.

Fot. R. Sennecke

PH. TAYLOR

mistrz Kanady w sztucznej jeździe ćwiczy na wynalezionych przez siebie łyżwach - szczudłach.

P. NICHOLSON
i panna SCHMIEDT,

amerykańscy championi w Szwajcarji wykonywują jedną z trudniejszych figur na lodzie.

CHAMONIX—
HÓCKEY NA LODZIE

Wczesne mrozy tego roku w Szwajcarji sprzyjały rozpoczęciu sezonu sportowego w Chamonix, gdzie odbyły się wszechświatowe zawody hockey'owe.

PANI DAVINCOURT
znana amerykańska sportlady

NA SZCZYTY!...
Zwały śnieżne na Pontresinie.

Fot. R. Sennecke

Sport a Literatura

Jeden z bardziej ruchliwych tygodników literackich we Francji, „Journal litteraire", podjął niedawno następujące zagadnienie: „Czy posiadamy literaturę sportową?" Pytanie tembardziej aktualne, że w ostatnim roku ukazało się we Francji mnóstwo utworów, zarówno wybitnie poetyckich (poezje Edmunda Rostand'a, Henri de Montherlant'a, Jana Bernier'a, Paul Sauchon'a, Jean Richepin'a, Lucien Fabre'a i innych), jak powieściowych, ba nawet dramatycznych, których głównym tematem jest sport.

Zastęp pisarzy, którzy uważają sport nietylko za temat swoich utworów, ale znajdują w nim punkt wyjścia dla swojej twórczości jest już tak znaczny, indywidualność każdego poszczególnego pisarza tak odrębnie zarysowuje się w sposobie traktowania sportu i nawet w wyborze jego gałęzi, że odpowiedź na samo pytanie o istnieniu literatury sportowej odpada, pozostają niezmiernie interesujące rozważania na temat tych poszczególnych cech, jakich piszący w sporcie dopatrują się i w jakie uposażają swoich bohaterów ze świata sportowego. Rezultatem takich rozważań jest wydany przed niedawnym czasem przez wydawnictwo „Le monde nouveau" specjalny numer o literaturze sportowej. Jest to sporej objętości tom, w którym z niezmierną systematycznością zebrano wszystko, co dotyczy francuskiej literatury sportowej. Narazie więc za owem wydawnictwem przyjrzyjmy się francuskiej literaturze sportowej, zgóry wyrażając żal, iż o polskiej literaturze w tej dziedzinie nie prędko przyjdzie mówić.

Istotnie zastanawiającą jest rzeczą, że wśród naszych pisarzy, nawet najmłodszych, zdawałoby się bardziej wrażliwych na sport, niema ani jednego prawie, któryby w jakimkolwiek swoim utworze dał artystyczny wyraz tej dziedzinie życia. Mimo osobistych sympatyj dla sportu szeregu naszych pisarzy (niektórzy z nich są najzagorzalszymi bywalcami wszystkich meczy, czy zawodów lekkoatletycznych), w utworze żadnego z nich niema miejsca dla sportu. A przecież wiele uczuć, wiele namiętności tak żywych i tętniących bije w sercach młodego sportowego pokolenia? Czyż wydobycie na jaw trwogi, wahań czy radości, perypetyj i tylu przeżyć w współzawodnictwie naszych młodych „spartańczyków" nie jest tematem stojącym na wysokości zadań największego nawet talentu poetyckiego?

Ten niezrozumiały absenteizm polskiego pisarstwa od sportu jest tem dziwniejszy, że nawet nie idzie w parze z tą współczesnością poezji, jej demokratycznością, o jakie walczyła i dobijała się młoda, najmłodsza Polska pisząca. I na tem miejscu wypada przypomnieć tak bolesną i przeraźliwie ironiczną, prawdziwą, choć już minioną tragicznie, rzeczywistość. Bo oto, z pośród artystów ostatniej doby gorącym wielbicielem sportu był przed rokiem zmarły malarz W. Porankiewicz. Kochał sport, nietylko jak sportowiec, ale jak artysta przedziwnej subtelności, widział radość i szczęście bezmierne, płynące z ruchu, pokonywania przeszkód, stopienia się w jedno karnego wysiłku kilku ludzi, wysiłku, o jakimś nierealnym niemal, bo abstrakcyjnym życiowo celu — zdobycia rekordu, czy zdobycia bramki.

Porankiewicz, aczkolwiek posiadał niewątpliwy i to wielki talent literacki, pozostawił po sobie jedną tylko nowelę po za licznemi sprawozdaniami ze sportu i kina, (które również kochał bardzo). W jednej swej noweli, pisanej na krótko przed śmiercią, p. t. „Gorączka", przykuty do łóżka, z którego mu już wstać niedanem było, opisuje Porankiewicz mecz piłki nożnej, odbywający się na słońcem zalanem boisku, wśród tysięcy widzów z zapartym oddechem śledzących każdy ruch graczy.

Ta jedna nowela, właściwie fragmencik, rehabilituje współczesne piśmiennictwo polskie za jego milczenie wobec sportu. Jak bogatą, wszechstronną — nietylko już z fachowego punktu widzenia — ale, jak różnobarwną i obfitującą w największe finezje jest wobec tego francuska literatura sportowa!

Tom, wydany przez „Monde Nouveau" dzieli pisarzy o sporcie piszących na kategorje: a więc: po pierwsze, powieściopisarze:

W tej rubryce znajdujemy najświetniejsze nazwiska literackiej Francji, lub pisarzy po francusku piszących: Maurycy Maeterlinck, Gabriel d'Annunzio, Tristan Bernard, Maurice Leblanc, I. H. Rosny i z pośród młodych, a bardzo utalentowanych: Henri de Montherlant, I. Kessel, Marcel Berger, Pierre Mac Orlan. Śród nowelistów znajdujemy nazwiska: Maupassant'a, Kirtenmaeckers'a, Henri Bordeaux (z Akademji francuskiej), Paul Moranda, Tardieu i innych.

W rozdziale zatytułowanym: „Philosophes et Moralistes" znajdujemy Paul Adama'a Maeterlinck'a, Barrès'a, Pierre Louys'a, Bourget'a, Pelandan'a.

Do działu kroniki zaliczeni są Mirbeau, Clemenceau (!), Basieux, Henri de Renvier, znajoma nam z podróży aeroplanem do Polski, kobieta-pilot, pani Louise Faure-Favier.

Bardzo bogatą jest twórczość humorystów, piszących o sporcie, jak Tristan Bernard, Gaston de Pawłowski, Franc Nohan, Fernand Bidault, Gabriel Timmory. Wreszcie do poetów, którzy w sporcie znaleźli inwencję swojej poetyckiej twórczości należą najświetniejsze pióra współczesnej literatury francuskiej.

Ten dział jest szczególnie interesujący, zwłaszcza, że „Monde Nouveau" do wyczerpujących charakterystyk literackich każdego poszczególnego pisarza, napisanych przez wybitnych krytyków, dodał przy omawianiu każdego z piszących jeden, a czasami i dwa najbardziej charakterystyczne urywki z jego utworu. Obok więc całych stronic z Tristana Bernarda, lub Maeterlincka, Bordeaux czy Brieux, w urywkach niejednokrotnie na przestrzeni kilkunastu zaledwie wierszy, przedstawiających jakiś fragment z życia sportowego bohatera, czy bohaterki, znamienny czy to napięciem akcji, czy penetrująca psychologją współzawodnika, czasami wręcz tragicznym opisem epizodu, znajdujemy szereg myśli i poglądów, aforyzmów i spostrzeżeń, jakie wyszły z pod pióra filozofów, czy psychologów.

Do działu zaś ilustrującego stan poezji „sportowej" dołączono bogaty wybór poezji, w których maluje się dusza zachwyconego poety, na widok mknącego jak pocisk szybkobiegacza, czy napiętej, jak łuk smukłej i jak rzeźba antyczna nieskazitelnej sylwety współzawodniczki.

Szczególnie poezje Henri de Montherlant, który był jednym z najpoważniejszych kandydatów do tegorocznej nagrody im. braci Goncourt, pełne są swoistego czaru i piękna.

W swoim czasie „Wiadomości Literackie", drukując artykuł o tym poecie, zamieściły parę urywków z jego poematu, napisanego na cześć Francuski zwyciężającej w biegu inne współzawodniczki).

Jeżeli po zaznajomieniu się z tym tomem, którego wydaniem „Le Monde Nouveau", przyczyni się ogromnie do rozwiania błahych poglądów o literaturze sportowej i o sporcie samym, zechcemy zdać sobie sprawę z tego, co właściwie wyraża literatura sportowa, jakie są jej zadania i cele, to odpowiedzią, nasuwającą się bezpośrednio jest twierdzenie, że literaturze sportowej nie chodzi bynajmniej o samą jeno propagandę sportu, tej lub owej jego gałęzi, ale przedewszystkiem o wydobycie na jaw i przedstawienie w najbardziej szczerych i bezpośrednich barwach tych istotnych wartości, jakie sport w sobie zawiera.

A więc, poza tyle już razy poruszaną, a niejednokrotnie mylnie interpretowaną, „harmonją ruchów", czy zharmonizowaniem człowieka z przyrodą — mylnie uważanemi za ostateczny cel sportu), w czasach dzisiejszych, szybkich, nieubłaganych w swym niepowstrzymanym pędzie i zmienności swych wartości, w tych egoistycznych i zmaterjalizowanych czasach — sport jest jedyną dziedziną, w której dokonywuje się realizacja prawdziwego demokratyzmu, i więcej nawet— bezinteresownego idealizmu. Te, naprzykład napozór „ważne" cele zdobycia bramki w zawodach piłki nożnej, kiedy dwudziestu dorosłych ludzi walczy z sobą, wysilając cały swój zasób umiejętności, zgrabności, czy wytrzymałości, są jaskrawym dowodem, że nieprzynoszący właściwie nikomu materjalnych korzyści, cel, może się stać czemś niesłychanie ważnem i doniosłem, absorbującem ambicję nietylko udział w grze biorących, ale i widzów, ba, społeczeństw, dla samej jeno radości współzawodnictwa, zwycięstwa, dumy zwyciężenia, czy obrony.

I oto literatura sportowa Francji, budząc artyzmem swoich pisarzy ten zdrowy instynkt rywalizacji, spełnia mimowoli to zadanie, jakie literatura podejmowała stale: budzenia dobrych i zdrowych uniesień, zdolności do walki, chęci zwycięstwa i solidarności ludzkiej. Nagromadzona po wojnie w społeczeństwach, niemal już w krew wessana karność wojskowa, potrzeba zwierzchnictwa znalazły w sporcie naturalne zaspokojenie i oto, jak powiadają niektórzy z obserwatorów życia powojennego w Europie, wojna trwa dalej zapomocą piłek, rakiet tennisowych, wioseł, czy rowerów. Być może, w każdym razie francuskiej literaturze sportowej nie można zrobić zarzutu, aby była wybitnie szowinistyczna.

Przeciwnie, rok Olimpjady, który niewątpliwie ogromnie się przyczynił do wzmożenia i specjalnej literatury, w swoich rezultatach przyniósł cały szereg dzieł, w których panuje idealna atmosfera różnorodnych współzawodników, połączonych jednem hasłem: sport.

Śród wielu książek i wielu autorów tej literatury na pierwszem miejscu należy postawić młodego poetę i powieściopisarza Henri de Montherlant.

Jego powieści: Les onze devant la porte d'or" i „Le paradis, a l'ombre des Epées" są historją życia młodego chłopca, który kształci swój umysł i formuje swoje uczucia śród rówieśników, jak on „żyjących sportem". Cierpienia i radości, nadzieje i rozpacze, w których sport jest niemniejszej siły namiętnością co najgorętsza miłość, a przytem wszystko przeżywane nie na tle konwencjonalnych salonów, ale wśród wiecznie żywej, wesołej i uśmiechniętej zieloności boisk i placów do gry.

Jakże inny jest stosunek tych ludzi do kobiet, które przywykli oglądać nie na tle zadymionych dancigów, w wieczorowych stro-

jach, naróżowane i przemęczone, ale na sypkim terenie bieżni, lub na nieustępliwym twardym „korcie" tenisowym, z rozwianemi włosami, w lekkich sukniach, lub w gimnastycznych kostjumach. W tej atmosferze niepodobnej do konwencjonalności utartych salonowych środowisk uczucia są inne, przeżycia intensywniejsze i z ściśle literackiego punktu widzenia, książki Montherlant'a są niezmiernie oryginalne i ciekawe. A kiedy w swych poezjach, wraz z innymi poetami, jak Berger lub Bornier, sięga do patetyczności podobnej greckim dytyrambom, głoszącym sławę miotacza dyskiem, czy woźnicy rydwanu, przedziwne to pomieszanie współczesności z zdrową antycznością, nic ze snobistycznemi upodobaniami wspólnego nie mającą jest również bardzo oryginalne i pociągające. Niekiedy, jak u Kessel'a w jego powieści „L'equipage", górę bierze zmysłowa, nieokiełznana radość życia, pierwotny jakiś hedonizm, ale i wtedy szczerość radującego się prymitywnie i niewyszukanie boksera jest czemś nieodłącznem od całej książki, jurnej i zadzierzystej, jak krzepkie łydy walczących ze sobą o wyrafinowaną kobietę nieskomplikowanych mężczyzn.

Bogata swą różnolitością literatura francuska ostatniej doby w literaturze sportowej zyskała bardzo interesującą odmianę, z innej jeszcze strony malująca życie nowej Francji, coraz bardziej nieoczekiwanej i zastanawiającej dla tych, którzy przywykli widzieć Francję jedynie jako wyróżowaną, wyperfumowaną i zawsze gotową do uciech — „obywatelkę całego świata".

I aczkolwiek sport w literaturze francuskiej już i przedtem był szeroko traktowany i niejednokrotnie opisywany, to wszakże raczej posługiwano się nim w celach — niejako — dekoracyjnych, chociaż Paul Adam, czy Lavedan lub Brieux dawali nieraz całe stronice poświęcone sprawom zawodów sportowych, lub, jak Prevost, przenosili całą akcję toczącego się romansu do Chamonix, lub Engadinu,— wszakże ten sposób traktowania sportu, jako tematu, nie ma nic wspólnego z obecną wybitnie i wyłącznie na tle sportu powstałą literaturą. Sportowe upodobania wielu pisarzy, jak Maeterlincka, Annunzio lub Tristana Bernard'a nie wytrzymują oczywiście porównania z tym bezpośrednim stosunkiem, jaki łączy dzisiejszych pisarzy ze sportem.

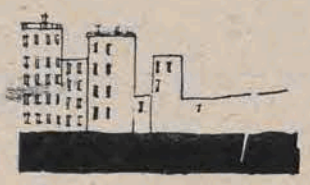

Biografje Montherlant'a, Kessel'a, Bernier'a czy Geo Charles (autor pięknego tomu poematów p. t. „Sport") wskazują, że każdy z nich był, lub jeszcze jest czynnym członkiem jakiegoś sportowego stowarzyszenia. I właśnie te osobiście przeżyte emocje sportowców skierowały talenty pisarskie w tę stronę. Bo każdy z tych utalentowanych literatów mógłby pisać o wszystkiem innem, każdy inny temat mógłby znaleść dostatecznie plastyczny wyraz pod piórem każdego z nich—jednak ta świeżość emocji, ich odrębność i bezpośredniość, jakie dawały przeżycia sportowe, pchnęły ich na drogę literatury sportowej.

Na tem miejscu da się zauważyć jeszcze jedna bardzo charakterystyczna cecha tej nowego typu literatury. Jeżeli dotychczas, jak zauważyliśmy, sport był poruszany w literaturze i przytem w tak swoisty sposób, to podkreślenia godnem jest również i to, że opisywano przeważnie sporty t. zw. dystyngowane, więc naprzykład wyścigi konne (aczkolwiek ze sportem we właściwem tego słowa znaczeniu miały one niewiele wspólnego), lub lawn-tennis, zrzadka opisywano fechtunek, a w ostatnich czasach przed wojną, dzięki panującej wśród literatów paryskich modzie, pisano również o bokserach i meczach bokserskich. Jakże rozszerzył się od owego czasu zakres samych opisów sportowych. Wszystkie gałęzie sportu bez wyjątku znalazły swe odbicie w literaturze, co zaś najciekawsze, że właśnie te obydwa rodzaje sportu, które są najpopularniejsze, znalazły najszersze omówienie w literaturze francuskiej. A więc piłka nożna i... rower. Trzeba bowiem wiedzieć, że najpopularniejszym, najulubieńszym i najbardziej pociągającym sportem we Francji jest kolarstwo. To jakgdyby sport narodowy. Wielkie wyścigi dokoła Francji, 6-cio dniowe wyścigi w Grand Palais, czy w Cyrku paryskim gromadzą dziesiątki tysięcy widzów, imiona zwycięzcy i uczestników są najpopularniejszemi we Francji. Dopiero za nim podąża piłka nożna. Toż samo przodowanie kolarstwa jest wyraźnie zaznaczone w literaturze, jest ono nawet dawniejsze. Ostatnie dopiero lata przynosząc lekką atletykę, stanowiącą do pewnego stopnia arystokratyzm sportu, bo oparty jest już wyłącznie na osobistych zaletach czynnego sportowca, nietylko fizycznych ale i moralnych (wszakże siła moralna wytrwania równa się w swej doniosłości sprawności fizycznej), rozpowszechniając sport lekkoatletyczny, wprowadziły go do literatury.

I bardzo to ciekawy objaw, jak w literaturze odbiły się wszystkie te rodzaje sportu. Typ żokieja, znany literaturze, zlewał duchowe wartości tego człowieka, zależnego od konia, na którym jeździł, którego przygotowywał do walki, łączył bezpośrednio z „psychologją" konia, uzależniał całkowicie nastrój i samopoczucie konia od jeźdźca, typ natomiast człowieka, depczącego pedały, „psychologja cyklisty, mechanizowała całkowicie i, nie personifikując samego roweru, raczej człowieka upodobniała maszynie, aniżeli próbowała uduchowić maszynę.

Bardzo charakterystyczny i wyjątkowy pod względem siły opis takiego wyścigu na rowerach znajdziemy w powieści Kistennmieckers'a „Lord Wiel". Inni zupełnie ludzie — to zapaleni sportowcy automobilowi (świetna charakterystyka szofera u Mirbeau). Lotnicy w literaturze — to oddzielny rozdział.

Natomiast o tych utworach, które wzięły za temat wyłącznie lekkoatletykę, a więc bieg, skoki, wzwyż, zwłaszcza bardzo efektowne skoki wzwyż o tyczce, możnaby powiedzieć, że są najbardziej poetyckie, to znaczy w swej istocie

składają się z elementów najczystszej poezji, co jest zresztą tak zrozumiałe, jeżeli bodaj trochę uprawiało się ten rodzaj sportu, lub nawet tylko przyglądało kiedykolwiek zawodom lekkoatletycznym. Dzięki rozpędowi na przestrzeni kilkunastu metrów i oparciu się w chwili skoku na gibkiej, cienkiej, a bardzo mocnej trzcince, ciało biegnącego zostaje wyrzucone w powietrze na wysokość dwóch prawie metrów, rozpina się, jak ptak w locie, zawisa na chwilę w powierzu nieruchomo i spada na ziemię. Widok zachwycający, nieskazitelnie piękny, w najbliższej analogji mający tyle podobieństwa do lotu, wolnego lotu człowieka bez pomocy żadnych przyrządów. Nic więc dziwnego, że poeci, czujący całe niekłamane piękno takiego widoku, rozumiejący radość trzepocącego się w powietrzu skoczka — piszą poezje „o skoku wzwyż".

I jeszcze jedna cecha literatury sportowej, również niezmiernie znamienna i, kto wie, może w swych skutkach wcale nie małoważna.

Jak kinematograficzne obrazy amerykańskie, propagujące w gruncie rzeczy wzniosłą i szlachetną ideę — rycerskość, nowoczesną rycerskość w stosunku do starszych ludzi, dzieci i chorych, ukazują nam przytem stosunek do kobiety w jakimś innym, lepszym, bo czystszym, niemal koleżeńskim charakterze i tem zachwycają nas, — jak te obrazy nową atmosferą, pozbawioną sztucznych erotyzmów, niepotrzebnych powikłań, są odbiciem sportowego życia Ameryki (bo to ono uczyniło z tamtych prozaicznych ludzi — rycerzy, w najlepszem tego słowa znaczeniu), tak również i literatura sportowa Francji szerzy w dalszym ciągu tę samą naukę, płynącą ku nam z za Oceanu. Że sport wychował owo poczucie tej „camaraderie", że to dzięki niemu stosunek dawnego ugłaskanego salonowca do znudzonej panny zmienił się na żywy, intensywny, pełen wspólnych niewygód i wspólnych przyjemności, że odtąd raczej rywalizacja o dobre „wyniki" na nartach, czy w bieganiu, w pływaniu, czy wspinaniu się na percie i źleby stała się bardziej modną od wszelkiej konwersacji salonowej, że, jednem słowem, sportowiec zawsze znajdzie więcej względów u dzisiejszej panny od zblazowanego, bladego „salonowca" — to chyba jest aż nazbyt oczywiste.

Że jednak do tego pocieszającego objawu w dużym stopniu przyczyniła się również literatura sportowa — zdaje się nie ulegać wątpliwości.

I, jak w życiu współczesnem sport zajął wcale nie drugorzędne miejsce ,stanowiąc jeden z donioślejszych objawów kulturalnego życia narodu — tak w literaturze całego świata, z kolei rzeczy, zajmie on również należne mu stanowisko. Że pierwszeństwo zajęła w tym względzie literatura francuska, jest to zrozumiałe i zasłużone. Żadna inna nie potrafiłaby z taką subtelnością wyrazić tych emocyj, jakie przynosi z sobą sport.

Impulsywności francuskiej literatury sport odpowiada najbliżej — dlatego też tak wybitne zajął w niej miejsce obok innych zagadnień współczesnego życia.

Józef Brodzki

* * *

O, smętne śnieżne nevermore!
Dni utracone, ukochane!
Widzę Cię znów w Café du Nord
W mroźny mglisty poranek.

Strach, słodki strach od stóp do głów,
Dygot błękitnych czułych nerwów.
I sen był znów i list był znów:
Mgła legendarnych perfum.

Lecz niema mnie i niema mnie
I nigdy w życiu mnie nie będzie,
Zostanę w liście, zostanę w śnie,
W śnieżnej, smutnej legendzie.

Nic o tem nie wiesz. Czekasz drżąc.
Dzień sennie sypie się i szepce.
Ach, serce moje i młodość mą
W srebrnej nosisz torebce.

Wczoraj?... Ach, co to było? Tak:
Carmen... kareta... wino... walce...
Mignęło w oczach. Nic. To ptak
Wyszyty na woalce.

Pusto i ciepło jest w café.
Mróz się na oknach kwieciem perli...
Nie bój się! Idź! Nie spotkasz mnie!
...Wielki, wielki jest Berlin.

Juljan Tuwim.

Magja Drogich Kamieni

wedle nauki Filozofów i Doświadczeń wielu szlachetnie urodzonych Dam i Kawalerów

spisat

Witold Bunikiewicz

(Ciąg dalszy)

Inni filozofowie utrzymują, w co wierzyć należy niezłomnie, iż djament w proszku jest największą trucizną, na którą niema lekarstwa.

DJAMENT CZYNI NIEKIEDY KOBIETY SZALONEMI. Pewna osoba zasługująca na wiarę i bardzo świętobliwa opowiadała panu Agrypie, iż blisko Tuluzy mieszkała zacna dama, której djamenty pomieszały rozum, a to nie dla czego innego, tylko dlatego, że miała zwyczaj ubierać ich kilka lub kilkanaście naraz. Czyniła zaś nieostrożnie, bo z każdego kamienia szła inna influencja i tak jak różne wiatry miotają łodzią na morzu, tak też i kamienie miotały jej rozumem, aż przyprawiły ją o szaleństwo. Inna znów pani zwykła była się ustrajać w różne kamienie i obok djamentu zawieszała rubiny, turkusy, szmaragdy i ametysty. Nie zaszkodziło to jej zdrowiu, ale czyniła nieopatrznie tak jakby przy jednym stole sadzała króla i chłopka. I król nie czułby się wesoło, a chłopek nieśmiałby włożyć do gęby pieczeni.

Djament bowiem jest królem pomiędzy wszystkimi kamieniami.

Rubin

BARWACH RUBINU I JEGO CNOTACH. Ojczyzną rubinów są gorące morza. Gdy rubin jest młody posiada kolor biały, z wiekiem różowieje, a w pełni dojrzałości przybiera barwę czerwoną. Niektórzy uczeni dowodzą, iż szkarłatna barwa rubinu pochodzi z krwi, lecz co do tego zdania są podzielone. Jakkolwiek rubin jest ulubionym kamieniem Wenery, jednakże noszą go przeważnie biskupi, uczeni, także zalecać go należy wszystkim żonom i małżonkom, gdyż utrzymuje on stałość i wierność związków. Księżna Adelajda Szkocka otrzymała od swej babki ś. p. Anny rubin przywieziony z Cejlonu. Księżna odznaczała się taką stałością i wiernością, iż dla tych cnót przetrwało jej imię wieki. Wprawdzie bękart króla Filipa twierdził, że o cnotę księżnej nikt z kawalerów pokusić się nie chce, bo statura jej przypomina raczej kościotrupa niż żywą niewiastę, ale to nie było prawdą, albowiem o względy jej ubiegało się bezskutecznie kilku panów.

Młodsza siostra księżnej, Marja, późniejsza pani Valois, otrzymała również od babki swej ś. p. Anny, rubin wraz z zaklęciem, aby go nigdy nie zdejmowała z palca. Zgodnie z życzeniem babki, nie rozstawała się księżniczka z swym kamieniem, chociaż wielu oficerów króla francuskiego błagało ją na klęczkach, aby odłożyła pierścień chociaż w łożnicy. Nie udawały się jednak namowy. Wreszcie pan z Lunevillu, pułkownik wojsk królewskich, chwycił się podstępu. Przekupił służebną księżnej, aby w tej chwili, gdy pani ściągnie pierścień z palca przy umywaniu, schowała go podstępnie i wręczyła kawalerowi. Tak też się i stało. Gdy nazajutrz wieczorem zjawił się w komnacie stęskniony oficer, nie odrzuciła już jego próśb, tem więcej, iż pan z Lunevillu, wskazując na rubin, wyrzekł: Kamień ten będzie puklerzem mojej wierności i stałości. I nieraz potem wypróbowała siły kamienia pani de Valois, bo ilekroć miała ochotę, dawała go innemu kawalerowi, a ten był wiernym i stałym tak długo, jak długo nosił rubin na palcu.

UBIN JEST KAMIENIEM PRZYJAŹNI I PRZEPOWIADA ZMIANĘ LOSU. Słusznie nazywają rubin kamieniem przyjaźni, albowiem noszony stale, wyświadcza wielkie przysługi i z podziwu godną dokładnością przepowiada zmianę losu.

Światły mąż Wolphgangus Gabelchoverus opowiada sam o sobie w rozdz. 6: „O kamieniach pospolitych i drogich", jako posiadał prawdziwy, wschodni rubin i ze zmiany jego barwy odgadł nieszczęście. Owóż światły on mąż wybrał się w podróż ze Stutgartu do Kolonji z małżonką swą Katarzyną. Nagle zauważył, iż rubin noszony w pierścieniu zmienił jasny i wesoły kolor na posępny i ciemny. A zmiana ta nie trwała jeden lub dwa dni, ale czas dłuższy, czem zaniepokojony Wolphgangus ukrył kamień w kufrze i nie taił obawy, że spotka go jakieś nieszczęście. Sprawdziła się przepowiednia kamienia, albowiem w kilka dni potem śmiertelna choroba nawiedziła panią Katarzynę, iż nie dojechawszy do Kolonji zmarła po drodze. Rubin zaś odzyskał znowu dawny, wesoły wygląd.

UBINU POŻYCZAĆ NIE NALEŻY. Rubinu nie należy więc nikomu pożyczać, bo źle czyni ten, kto zrzeka się przyjaciela lub przyjaciółki. Często bowiem przyjaźń zmienia się w nienawiść, jak tego dowiodła już historja i doświadczenie wielu dostojnych dam i kawalerów. Możnaby o tem dużo powiedzieć, ale niech starczy przykład pana z Mayance, który nie mogąc iść na ucztę do króla Henryka IV Valois ustroił w swą rubinową spinę krewniaka i posłał go, jako swego zastępcę. Nie przypuszczał, że w ten sposób stracił przyjaciela, bo pod działaniem influencji kamienia wszystkie łaski królewskie spłynęły na zastępcę. Szeroko o tem opowiadano w królestwie francuskiem i po innych dworach.

Szmaragd

POCHODZENIU I OJCZYŹNIE SZMARAGDÓW. Niektórzy filozofowie twierdzą, iż jest to kamień djabelski, zły, nieżyczliwy, lecz ułagodzony przez zacność tych ludzi, którzy go noszą może nawet stać się pożytecznym. Szmaragd rodzi się razem ze złotem, więc go oprawiać należy w ten kruszec, bo wtedy spływa się dobra iufluencja złota z niedobrą szmaragdu i złe potęgi są pokonane.

Alojzy Mondella de Brixia, lekarz, opowiada, iż Franciszek Marja, książę Urbiny posiadał szmaragd wagi 2 karatów, a Linscotanus, autor podróży po Indji cenił szmaragdy ich wyżej od djamentów, gdyż są one bardzo trudne do zdobycia, strzegą bowiem dzikie potwory zwane gryfami. Do kopalń szmaragdu ma tylko dostęp jednooki naród Arimaspów o zielonem wejrzeniu.

Ponieważ szmaragd jest djabelskiego pochodzenia i rodzi się ze złych waporów złota, przeto nosić go trzeba umiejętnie. Człowiek w grzechu śmiertelnym nie powinien spoglądać na jego ognie, bo wzmoże się w nim zatwardziałość, niewinna dziewica próżno będzie szukała ozdoby w tym kamieniu, gdyż przy jej czystości szmaragd straci swe kolory i patrzy posępnie, jak spętany zbrodniarz.

ZMARAGD RADUJE SIĘ Z GRZECHU. Ślicznemi kolorami płonie szmaragd na piersiach grzesznicy i po kolorze kamienia poznać można czy jest zatwardziałą, czy niewiele zbłądziła lub słynie cnotliwością.

Opowiadają, iż pewien młodzieniec wysokiego urodzenia, którego nazwiska wymieniać nie wypada ze względu na doskonałą pokutę jaką czynił, doszedłszy do wieku, w którym należy mieć miłośnicę, zapragnął pojąć żonę z pośród pań dworu króla Franciszka I. Młodzieniec, idąc za radą Abrahama, złotnika, postanowił wejść w związki małżeńskie tylko z taką damą, na której ręku szmaragd posmutnieje i straci blask, co będzie dowodem, iż jest to czysta i cnotliwa dziewica.

Rok i sześć niedziel próbował on młodzieniec, dając kamień na trzy dni po kolei wszystkiem damom. Szmaragd zaś był bardzo wesoły, jaśniał coraz piękniejszym blaskiem i coraz śliczniej wyglądał. Zmartwiony tem młodzieniec zerwał z życiem światowem, wstąpił do zakonu, a dla cnót swych niezłomnych powołany na spowiednika dworu królewskiego, przekonał się, iż kamień głosił prawdę.

ZMARAGD LECZY CHOROBY DJABELSKIEGO POCHODZENIA. Ponieważ klin klinem wybijać należy, przeto szmaragd leczy choroby djabelskiego pochodzenia. Doskonałym jest przeciw opętaniu i epilepsji, wypędza z ciała trucizny, a w dolegliwościach pochodzących z nadużycia siedmiu grzechów głównych, jakoto: w bólach żołądka, w chorobie wątroby, która jak wiadomo jest siedzibą złości, w krostach wszelakich i w zbytniej tłustości przynosi znakomitą ulgę.

(D. c. n.).

PRZYJAŹŃ I MIŁOŚĆ

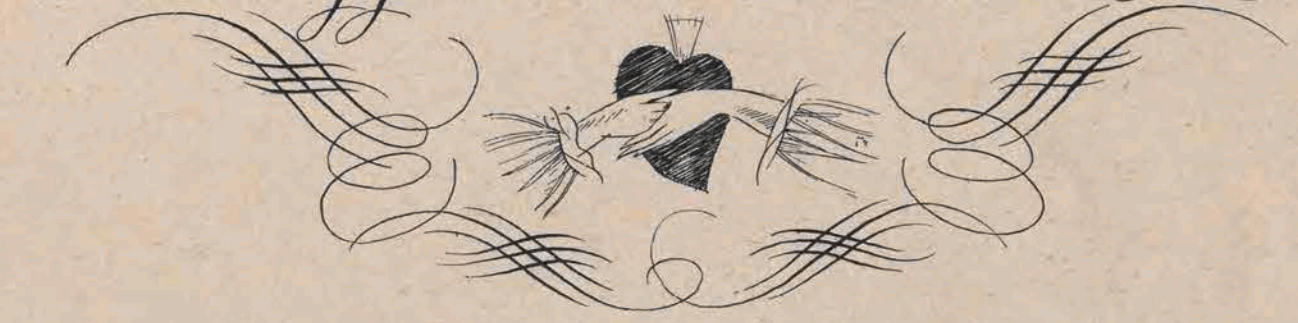

Mimo że od kilku lat pełnię funkcje recenzenta teatralnego, czuję się w teatrze bardziej widzem, niż krytykiem. Teatr jest wciąż dla mnie tą latarnią magiczną, która rzuca na ekran projekcje ludzkiej duszy, ludzkiej doli; i wyznaję, iż te obrazy interesują mnie więcej, niż system samej latarki, jej mechanizm... Zawsze wychodzę z teatru zamyślony nad życiem, rzadziej nad teatrem. Dlatego chętnie przyjąłem zaproszenie redakcji *Pani*, aby z powodu teatru mówić raczej o zagadnieniach, które teatr potrąca.

Grano świeżo na jednej z naszych scen sztukę (*Pan swego serca*), której treścią jest konflikt między miłością a przyjaźnią. Przyjaźń! to słowo, które raz po raz padało tam ze sceny, zabrzmiało mi jakoś fałszywie; i, kiedy rzuciłem tem słowem o biurko, niby sztuką monety dla spróbowania dźwięku, wydało dźwięk pusty.

Przyjaźń jest, można powiedzieć, uczuciem szczątkowem. Bywają takie szczątkowe pozostałości, jak w organizmach, tak w uczuciach. Ojciec chrzestny, to był wszak niegdyś ważny tytuł, połączony z realnemi zobowiązaniami; słowa: *stryj, wuj*, ileż straciły ze swego sensu, odkąd sukcesja przestała być główną podstawą dobrobytu. Najdalsze powinowactwa miały swoje nazwy i swoje znaczenie, którego dziś nie odzyskują nawet w epoce strucli świątecznych.

Podobnej dewaluacji uległo słowo i pojęcie *przyjaciel*. Od niepamiętnych czasów odgrywał on w ustroju społecznym ogromną rolę. Był to człowiek, na którym budowało się w każdej potrzebie, oczywiście z prawem wzajemności. Jemu zawierzało się ważne depozyty, jemu oddawało się pod opiekę żonę, wyjeżdżając w niebezpieczną podróż; on starał się o pieniądze na wykup, kiedy się człowiek dostał do niewoli. Jego dom, jego szabla, sakiewka, to były rzeczy, na które się liczyło niezawodnie; toteż jak ważną rzeczą był wybór przyjaciela, jak się hodowało dobrą przyjaźń! Ileż traktatów napisali w tym przedmiocie dawni moraliści!

Później zmieniło się to znacznie. Rozproszkowanie, a zarazem postępujące zorganizowanie społeczeństwa, tak jak zjadło rodzinę, tak samo zjadło poniekąd i przyjaźń w tem antycznem pojęciu. Uczyniło ją mniej nieodzowną. Poszczególne funkcje przyjaźni zostały zautomatyzowane, objęły je instytucje. Depozyt chowa się w *sałie*, ważny list przesyła się pocztą za recepisem, do odebrania przesyłki służy dowód osobisty, a nie pierścień. Pozatem rolę przyjaźni objęła luźna kamaraderja zawodowa lub towarzyska, oraz to tak nieokreślone, a tak wielce mówiące słowo: „stosunki". Słowo *przyjaciel* stało się czemś wstydliwem, może przez nawpół świadome poczucie kontrastu między pierwotnem znaczeniem tego słowa a jego dzisiejszą treścią. „Mój przyjacielu" stało się zwrotem lekceważąco obojętnym, niemal tak, jak: „mój człowieku". Tak— to dewaluują się słowa, uczucia... Jeden już jest dziś tylko w Polsce człowiek, w którego ustach zwrot „kochany stary przyjacielu" zachował wagę spiżu: ale bo też ten człowiek już na chrzcie św. otrzymał imię na miarę Plutarcha: *Cornelius!*

Podczas gdy tak z jednej strony słowo i pojęcie *przyjaźni* traci na treści, z drugiej strony barwi się ono dla sceptycznej i niestrudzenie dociekającej nowoczesnej analizy nowemi odcieniami. Mężczyzna, kobieta, miłość, płeć, jakże rozszerzyły się te pojęcia dla nas, którzy przeszli Weiningera, Freuda, Wilde'a, Prousta... Niemal już ścisłym pewnikiem psychologicznym jest fakt, że zróżniczkowanie płciowe duszy nie koniecznie idzie równym krokiem za zróżniczkowaniem organów ciała. Nie posuwając się aż do chorobliwego węszenia w każdej męskiej sympatji zbrodniczych symptomów, inaczej wszakże już patrzymy na te sprawy. Rozkładamy rzeczy proste, kojarzymy rzeczy napozór odległe. Dawne formułki nie wystarczają nam, słowa zwietrzały, stężałe pojęcia rozlały się w kapryśną falę stanów duszy. Pod skorupą naszej ubogiej świadomości tętni rytm podświadomej tajemnicy. Cała niemal psychologja przebudowuje się od podstaw.

I dlatego, mimo iż Raynal w swoim „dramacie przyjaźni" nie daje temu uczuciu innego znaczenia, niż banalne i utarte, mimowoli czytamy tam między wierszami inny nienapisany dramat. Wówczas dopiero utwór ten nabiera kolorów życia. Ze sfery djalektyki obowiązków, dramat ten przenosi się w sferę tajemnic płci, w owe graniczne strefy mętnych i nieświadomych siebie uczuć.

Czy on jest tak bardzo panem swego serca, ten Henryk, urodziwy mężczyzna, budzący żywe sympatje w kobietach i drażniący je swoją *obcością*, sam zaś skupiający wszystkie siły swego serca w przyjaźni męskiej? Ta jego przyjaźń do Jana nie ma żadnych motywów, któreby ją tłumaczyły socjalnie: jest to przyjaźń, oparta na samorodnym pociągu, pełna owej delikatnej czujności, tkliwości, jakie znamionują miłość. Ma kochankę; chciałby ją kochać, ale nie umie... I pierwszą kobietą, dla której zbudzi się czucie tego wyfraczonego sfinksa, będzie ta, którą kocha jego przyjaciel, o której mówił mu przed chwilą z płomiennym zapałem. Czemu ona właśnie? Czemu pod jej spojrzeniem drgnęło serce Henryka? może w nieświadomem marzeniu usta jego spotykają na jej ustach gorące wargi przyjaciela... I rozegra się pojedynek między rodzącą się miłością a wierną mimo tej niewierności przyjaźnią; i przyjaźń zwycięży. Henryk widział przyjaciela w rozpaczy: pojmuje, że przyczyną odmiany, która przywiodła jego Jana do tego stanu, jest nagła, nieodparta miłość tej kobiety do niego, Henryka. Co począć? zdradzić przyjaźń, czy uciec, czy ostrzec przyjaciela? Żadne z tych zbyt męskich rozwiązań nie przyjdzie na myśl Henrykowi: on pójdzie po linji zgodnej z jego dwoistą naturą, z nieświadomie erotycznem podłożem tej przyjaźni... Staje się stręczycielem tej, którą sam kocha; w tak wzruszających słowach jej maluje miłość i cierpienie przyjaciela, z takim żarem namiętności sili się ją pchnąć w jego ramiona, aż i ją zarazi swoją frenezją poświęcenia: ona, „normalna" kobieta, ulega fascynacji tego *kompleksu* i godzi się zamknąć niejako ów niezdrowy trójkąt. A kiedy w końcu zbyt naprężona sytuacja pęka, kiedy kobieta buntuje się przeciw narzuconej roli i biegnie po linji prostego swego instynktu w ramiona Henryka, Jan zaś w ich oczach strzałem z rewolweru odbiera sobie życie, Henryk namiętnym ruchem rzuca się na jego ciało, z krzykiem: „Ja ciebie nie zdradziłem". Biedny „pan swego serca"! może dopiero w tej chwili zrozumiał to swoje serce, którego tak mało był panem!

Cały ten dramat psychicznego „obojnactwa" napisany jest mimowoli, bezwiednie. I to właśnie jest najciekawsze, że młody autor, przeciwnie, ma swego bohatera za pełnego mężczyznę, ba, za wcielenie męskości, za człowieka za stali. Wierzy poprostu w przyjaźń. Tego rodzaju nieporozumienia, takie samoistne życie postaci, splot ich istotnych pobudek, niezależny od woli i wiedzy autora, to jedno z bardzo znamiennych i nierzadkich zjawisk w literaturze. We wspomnieniu świeżo poświęconem pamięci Conrada, francuski pisarz Lenormand (autor granej u nas sztuki *Samum* i paru „freudowskich" dramatów), przytacza swoją z nim rozmowę, w której zagadnął pisarza, czy szaleństwo Almayera w głośnej jego powieści pod takimże tytułem nie ma źródła w nieświadomej jego miłości do córki, miłości kazirodczej w swojej istocie, a przyczajonej poza miłością ojcowską? Conrad zaprzeczył żywo; kiedy jednak Lenormand punkt po punkcie zaczął analizować utwór i wydobywać przekonywujące momenty, Conrad zamilkł, widocznie zakłopotany, poczem odwrócił rozmowę.

Intencje sztuki Raynala są tedy inne niż to, cośmy poza niemi wyczytali. I rzecz dziwna: właśnie dlatego, że to wszystko pojmowane jest w niewinności ducha, sprawia na nas wrażenie cokolwiek nieprzyzwoite. Przyczynia się do tego i obsada. Kiedy kruczowłosy efeb p. Leszczyński tuli w swych kształtnych ramionach jasnowłosego efeba p. Węgierkę, wyznaję, iż doznawałem uczucia dziwnego zażenowania. Być może, iż gdyby ten utwór był dziełem śmiałej analizy, zapuszczającej się w obce dotąd teatrowi tajniki ludzkiej duszy, gdyby świadomie ważył się na ujęcie tych pasów granicznych płci i uczuć, wówczas może intencja artysty i myśliciela oczyściłaby go siłą swej powagi z tych drażliwości, które tu rodzi mimowoli rezonująca czułostkowość.

Czy strefy te staną się kiedy dostępne dla teatru? Wątpię. W teatrze, gdzie zbiorowa dusza stwarza normalną „przeciętną", gdzie wstydliwość tej zbiorowej duszy jest czulsza, drażliwsza, niż wstydliwość pojedyńczego widza, zostaniemy prawdopodobnie raczej przy zdecydowanie rozgraniczonych M i W (że posłużę się terminologją Weiningera). Subtelniejsza i ściślejsza analiza tych tak zajmujących pasów granicznych zostanie raczej dziedziną powieści.

Tyle jest pewne, że badanie duszy ludzkiej wchodzi w nową fazę. Nowe kompleksy pojęć wciskają się, jak widzimy, w powieść, na scenę, nawet bez wiedzy autora. Tam, gdzie wszystko zdawało się już dobrze znane, wszystko staje się znów nowe, ciemne; tajemnica odzyskuje swoje władztwo nad człowiekiem. Cóż za szczęśliwa „konjunktura" dla poezji, dla literatury!

Boy-Żeleński.

WSPÓŁCZESNE AUTORKI POLSKIE

ZOFJA NAŁKOWSKA.

II.

Po dziewięciu latach powieściowej i poetyckiej twórczości, odsłaniać się zaczęły p. Z. Nałkowskiej niektóre tajemnice dokonywanych w niej przeistoczeń. Jasna inteligencja stwierdziła, że „arena możliwości zacieśnia się niepostrzeżenie", że nadchodzi melancholijna chwila, gdy „nie w każdem uczesaniu jest do twarzy, nie w każdem oświetleniu ładnie wygląda głowa; jest coraz więcej dorosłych zupełnie panów, którzy nie wchodzą w rachubę, jako zbyt młodzi". W czterech opowiadaniach p. t. „Lustra" wypadki zewnętrzne drobną, a w każdym razie bardzo pośreednią odgrywają rolę. Cały dramat przeniesiono do wnętrza dusz. Niedopowiedziane słowa pytań lub odpowiedzi oznaczają tu symboliczne znaki uczuć wytężonych, dumnych, rozkochanych w swej j e d y n o ś c i. Postacie mają przed oczyma ideał samych siebie i pragną urzeczywistnić go koniecznie. Wmawiają w siebie siłę duchową, dorabiają wyobraźnią to, czego do ideału jeszcze brakuje i takie prężenie się nazywa autorka „ratowaniem pozorów marzenia". Wszystkie znamienne postacie „Luster" chodzą w maskach. Mają się wyzwolić z poczucia poniżenia wewnętrznego, więc przybierają pozy mocy. „Zasadniczą sprawą człowieka jest przecież, aby odnalazł siebie", więc albo tworzą siebie w wyobraźni, albo z tą samą maską stają nad otchłanią śmierci. Jeżeli przegrają wobec siebie, to i wtedy jeszcze otrzymują świadomą maskę, która czynom ich nada specjalną cechę.

W całej epoce dostrzega p. Nałkowska powstawanie takiego fenomenu, jak „uczucie intelektualne". Jedna z bohaterek powieści „Węże i róże" tak je określa: „Czytając opis malowideł na powale pałacu Forli, zwróciłam uwagę na ten przypadkowy symbol: były tam wyobrażone herby złączone dwóch rodów italskich, węże Sforzów i węże Riartów. Węże i róże, to godło pojednania, symbol przymierza, sojusz dwóch walczących oddawna władz człowieczego ducha: władzy myślenia i władzy czucia". Mamy w powieści całe galerje kobiet, napozór odmiennych nietylko w fizjonomjach, ale i w samej rasie. Nie chodzi tu jednak o historję takich lub owakich wydarzeń. Wszystkie epizody, zamknięte w trzydziestu rozdziałach, mają tylko jeden cel: pokazać dalsze dzieje jednej postaci, jednej duszy kobiecej, znanej już z poprzednich utworów p. Nałkowskiej, a szukającej swego wyrazu w dwóch kobietach: Modeście i Ernestynie. Gdy Ernestyna ujrzała kontury własnej duszy na dnie jednego z luster, w które się wpatrywała... z przyzwyczajenia — doznała najpierw uczucia zachwytu (także z przyzwyczajenia). A potem przybyła radość zdobienia tej duszy, radość tak wielka, że stała się uczuciem bliskiem namiętności. „Możność oglądania oczami rozwartemi świata przed sobą jest zdumieniem, jest upojeniem ostrem, dojmującem, podobnem do miłosnego". I oto jesteśmy przy samych narodzinach tego, co autorka nazywa „uczuciem intelektualnem", a co u niej jest dążeniem do wypracowania „chemicznie oczyszczonej myśli". Ernestyna marzy o takiem „ślicznem zadaniu samokształcenia": „opanować do jakiejś ostatecznej granicy cały świat mętnej wiedzy o rzeczach, gdy nas opuszcza świadomość, ujarzmić rozumem pasje, nieakceptowane przez wolę, namiętności, których się nie pochwala". Przy takiem marzeniu świat i ludzie nabierają specjalnej barwy. *Cudze* namiętności mogą mieć rację o tyle tylko, o ile pociągają swym pięknym kształtem. Ernestyna kocha szalenie styl, a mężczyźni mogą być jedynie pierwiastkiem tej stylowości: „Im wszystkim się wydaje, że wiedzą, co jest miłość. Oni nie rozumieją takich kobiet, jak my. Oni są od nas prostsi, lepiej zorganizowani do celów życia, nam pozostawiając *l'orgneil un peu triste d'être inutiles*". Ernestyna upaja się wiedzą, bo dostrzega w niej olśniewające piękno. „Myśli mają melodję i kształt. Można być artystą wiedzy, estetą matematyki, wyznawcą piękna intelektualnego, można zachwycać się właśnie wytwornością nauki" Są karty u Kanta i Schopenhauera, przed któremi staje się z bijącem sercem. Zupełnie, jak przed wielkiem jakiemś dziwem natury. To jest upajające, jak widok krateru wulkanicznego, albo jak widok morza".

Takie „uczucie intelektualne" przenika całą opowieść, nadając odrębną cechę krajobrazu, czynom ludzkim, a przedewszystkiem ich słowom. Wszyscy (a głównie kobiety) mówią tu zbyt pięknie i mądrze, bo właśnie mają być posłuszni swemu przeznaczeniu. Gdy tłumaczą myśli autorki niedostatecznie, wtedy wraca dawna pamiętnikowa forma narcyzyzmu i otrzymujemy piękny snop aforyzmów, szczególnych „liryk", a wreszcie — zdań o sztuce i twórczości.

Wojna wywarła na talent p. Nałkowskiej wpływ decydujący: wytrąciła jej ostatecznie *lustro* z ręki i położyła kres resztkom jej *narcyzyzmu*. „Intelektualne uczucie" stanęło wobec potężnej brutalności faktów, w których zwierzę ludzkie odsłoniło w całej nagości swe odwieczne apetyty. W sześciu krótkich opowiadaniach, objętych tytułem jednego z nich („Tajemnice krwi") interee narracyjny jest naogół błahy, nie wychodzący poza przeciętną nowelkowość wojenną. Ale te pospolite epizody z atmosfery walk mają w sobie dwa momenty zasadnicze: ironię autorki, chłodną, subtelną, z wieży z kości słoniowej posyłaną, a zaznaczoną ostro w *motto* noweli tytułowej, zapożyczonem od Napoleona: „Mon Dieu, mon dieu! comme les gens de lettres sont bêtes!"; obok tego — spojrzenie autorki na charaktery ludzkie, odmiennie reagujące na istotę wojny a posiadające bardzo niewiele z konstrukcji psychicznej dawnych bohaterek p. Nałkowskiej,—Janiny, Alicji, Ernestyny. Intelektualizm autorki ujmuje ten stosunek w aforyzmach, wplatanych w djalogi i rozsadzających wątek opowiadania. Aforyzmy są związane mechanicznie z charakterem postaci. Optymista rzuca np. taki pogląd na wojnę: „Wojna jest nietylko rozlewem krwi, zdziczeniem i klęską. Jest jeszcze szerokim wichrem dla oddechu, zdemaskowaniem nieznajomych wartości, grą higjeniczną przerażających zdumień i niespodzianek. Ogląda się wtedy rozległe, przyrodnicze instynkty gromad ludzkich. Nigdy nie widzi się tak dokład-

nie, jakim potężnym cementem jest wspólna nienawiść. Silniejszym od wszelkiej miłości. Jak łączy wspólne niebezpieczeństwo, nie zaś wspólny dobrostan i szczęście". Inaczej będzie na wojnę patrzał filozof, artysta, uczony. Beletryście każe p. Nałkowska traktować sprawę z szeroko pojętą względnością: „W tych starych kategorjach estetycznych wojna brana jest zwykle merytorycznie, od strony swego tematu. Tym czasem dzisiejszemu myślącemu gentlemanowi wojna wydaje się ważniejsza, *jako zjawisko*, niżeli jej temat. Psychologja wojny, nie ideologja — to jest ważne. Ci, co mają słuszność, powinni zwyciężyć, uciśnieni — powinni zrzucić „jarzmo niewoli". Cóż więcej da się pomyśleć na ten temat? Można wylać tylko więcej łez".

A jednak „na ten temat" pomyślała p. Nałkowska dzieje jednego wątłego życia ludzkiego, rzuconego na tło zapasów wojennych. „Hrabia Emil" — to pierwszy charakter męski autorki „kobiet", rozwinięty w całej pełni od lat dziecięcych bohatera i doprowadzony aż do jego zgonu. Kolejne formy tego żywota zamykają się w wydarzeniach niezbyt skomplikowanych: neronizm Emila w latach dziecięctwa, wczesne objawy gruźlicy, kilka kochanek „w ciepłych krajach", wreszcie — odezwanie się „głosu krwi" t. j. pęd do wojny, przerywany chorobą i zakończony śmiercią nie na polu bitwy, ale w domu. Odwróciły się jednak kategorje zainteresowań autorki: kobiety, tak niegdyś niezwykłe i odrębne, zbliżyły się obecnie do czytelnika, który zna je z wielu podobnych konfliktów. Natomiast cały swój talent pisarski, wyrobiony w długiej praktyce *gry pojęć*, stosuje p. Nałkowska w delikatnym rysunku życia wewnętrznego głównego bohatera. Szczegóły pospolitego realizmu ustępują miejsca skrótom taniego gatunku: „Nie lubił kierunków myślenia, uzasadniających taki typ, jak jego. Nie lubił filozofji pesymizmu. Chciał siebie uważać za pomyłkę, za coś, przeznaczonego na zagładę. Wierzył, że prawdą jest to, co zwycięża, że sprawdzianem jedynym prawdy jest siła". Albo znowu: „Ustalił, że daleko mniej jest podobieństwa między wysokim i złym gatunkiem miłości, niżeli między złym gatunkiem miłości a każdą inną rozrywką zmysłów". Emil podsłuchuje też nieustannie, co autorka myśli o wojnie i rzuca czytelnikowi takie aforyzmy: „Wojna jest bardzo podatna do stylizacji... Jest mnóstwo gotowych patronów z lat kościuszkowskich, z trzydziestego pierwszego i sześćdziesiątego trzeciego, które dadzą się tu przytoczyć i ostatecznie pasują. Ale można też uważać wojnę za coś zwyczajnego, żywego, teraźniejszego. Można ją widzieć w świetle konjunktur politycznych, szwindlów parlamentarnych i telegramowej blagi".

Z pracy społecznej podczas wojny p. Nałkowska wyniosła szerszą i bardziej pogłębioną znajomość ludzi. Zaostrzyła się przenikliwość jej spojrzenia, chociaż nie uległa zmianie jej chłodna zawsze postawa wobec zatargów człowieka z losem. Zamiast dramatów lub komedyj ludzkich, przed oczyma jej stają rozliczne twarze, w których autorka czyta spokojnie, objektywnie, niekiedy z wyniosłym uśmiechem treść wewnętrzną dusz i duszyczek. I tworzy sobie misterne kamee subtelnie rzeźbionych „charakterów". Te miniaturowe sylwetki nie dają skondensowanych skrótów człowieczeństwa, jak to się dzieje u La Bruyère'a, ale są wyrafinowanym wyborem drobnych rysów, które w kilkunastu wierszach zawrzeć chcą cały pretekst istnienia człowieka.

Zetknięcie się z prawdą życia wydało niedawno „Romans Teresy Hennert". Mało już zostało powodów do wiary w piękno świata. Intelektualizm wytworzył wyrozumiałość i powściągliwość. Jesteśmy w odrodzonej Polsce. Nie ma p. Nałkowska co do niej żadnych złudzeń, ale też nie usiłuje oskarżać jej o cośkolwiek. „Do licha — mówi jedna z postaci opowiadania — jest już przecież Polska, to jedno jest pewne, że jest. Nie taka, jakeście pragnęli? No właśnie, jest taka, jaka może być. To jedynie jest ważne, to jedynie jest rzeczywiste — i to jest nawet cudowne! Po tych paru latach jest już taka, jakby nigdy nie była w niewoli, jak każde inne państwo: zrujnowana i rozkwitająca, waleczna i chciwa, bohaterska i paskarska. Jest w czem żyć, jest w czem działać. Jesteśmy wreszcie obywatelami, jak wszyscy na świecie — odpowiedzialni, walczący, winni. Już nie ofiary tylko — już winowajcy. Nic nas nie usprawiedliwia, niema już wykrętów. Ani „Chrystus narodów", ani „kajdany Sybiru", ani „carscy siepacze". Nic, nic! Jesteśmy tacy, jacy możemy być — jaką jest zawsze gromada".

To zgrzeszenie winno nam wytłumaczyć, dla czego postacie romansu, świetnie malowane niekiedy i wybornie wykończone, dają tak nieponętną syntezę nowej Polski lub chociażby jej cząstki. Bohaterka główna już na ukończeniu pensji idzie na utrzymanie do bogatego studenta a potem wychodzi za mąż za sprytnego subjekta, który wkrótce staje się spekulantem w wielkim stylu. Jest ona typem bierności, jak innej bierności okazem jest znowu postać druga, tonąca w nędzy i w cnotach domowych. Poza tem mamy piękne kochanki i kandydatki na kochanki, zdradzone narzeczone. Dość przykrych reprezentantów otrzymała armja. Pożera ich niedostateczność poborów i rozkład armji po ukończeniu wojny. Jeden dla kochanki popełnia nadużycia finansowe i staje przed sądem wojennym; inny bezczynność swoją pogrąża w zapamiętałej miłości, która czyni z niego mordercę; wreszcie — do dwóch innych zakradł się komunizm, jednego z nich wciągnął w zdradę stanu i usiłowanie samobójstwa. Reszta towarzystwa prowadzi żywot szary, w drobnych codziennych zabiegach, ze szczyptą tu i ówdzie filozofowania, wszeptanego do ucha przez autorkę. Obraz w całości — beznadziejnie smutny. Pomimo barw nieco przyblakłych w stosunku do dawnej narracji p. Nałkowskiej, „Romans pani Hennert" jest wzorem charakterystyki wytwornej, wnikliwej, utrzymanej na wysokim poziomie, wytwarzającej „bezcenny dreszcz porozumienia", o jakim marzy autorka.

Intelektualizm p. Nałkowskiej odbył dość zawiłą drogę od samouwielbienia aż nadto świadomego —do rozumowanej konstrukcji charakterów. Obecnie jej piękny talent wchodzi w fazę organicznego niejako tworzenia postaci Gwarancją rozwoju dalszych jego kształtów jest wysoka kultura literacka i artystyczna autorki, która nie pozwoli naginać naturalnego biegu marzenia do schematów najbardziej ponętnych.

Jan Lorentowicz

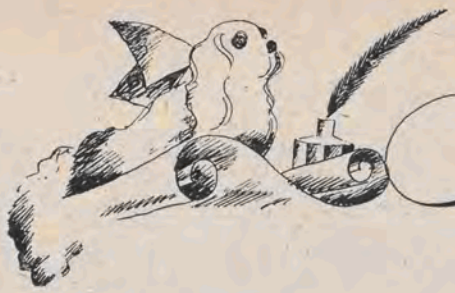

Notatnik Pani

literatura

„LADISLAS REYMONT — PRIX NOBEL 1924". Tym razem zdajemy sprawę z książki francuskiej. Napisał ją o Reymoncie Jan Lorentowicz. Wyszła, w wykwintną szatę odziana, żeby złożyć wizytę Francuzom, jeśli o nagrodzonym autorze „Chłopów" nie wiedzieli, — a napewno nie wiedzieli. Bowiem my, co żyjemy i działamy i piszemy, zapatrzeni we wzory francuskie i na jedno kolano przyklęknąwszy przed genjuszem francuskim, powinniśmy stale uświadamiać sobie, że tam, w tym nieogarnionym moulin rouge'u literatury, jesteśmy na ostatnim planie. I podobnie, jak w Wielkiej Encyklopedji Lavignaca reprezentowane są wszystkie muzyki świata, nie wyłączając prymitywu wyjącego czerwonoskórych, *prócz jedynie muzyki polskiej* — tak samo w nienapisanej jeszcze encyklopedji wszechliterackiej Francuzów stoimy ukryci poza szerokiemi, jak chlebny piec, barami Rosjan.

Lorentowicz zna Francję i jej literaturę jak mało kto, a najlepszym tego dowodem jego cenna „Nowa Francja literacka". Mieszkał tam i włada francuskim swobodnie. Wiedział tedy, że trzeba ich nauczyć alfabetu rejmontostwa, i uczynił to w książce niewielkiej, ale treściwej. Pokazał naszym sprzymierzeńcom całą jego twórczość i jej ewolucję z szerokiem uwzględnieniem artyzmu „Chłopów", albowiem Lorentowicz należy do krytyków, którzy czytają, i to gruntownie, i napewno on jeden tylko zna 30 tomów Reymonta. Więc mógł ogarnąć całość i analitycznie i syntetycznie; przebiec drogę, wiodącą do ogromu teatrologji „Chłopów", i tę dalszą, która szła po nich ku trylogji „Rok 1794", a przecież w swej części racławickiej dawała ten rasowy i psychologiczny fundament, na którym epopea chłopa polskiego się dźwignęła. Lorentowicz doskonale odróżnia to, co było wnętrznem powołaniem, przeznaczeniem Reymonta — realistyczną poezję i poetyczny realizm duszy, która ma w sobie „wiele z Piasta", a „potęgą jest i basta" (Wyspiański), od tych zaciekawień i problematów, które leżały już więcej na drogach bocznych, jak „Wampir", „Lilit", nawet „Marzyciel", lub rzeczy, zatrącające o humor i satyrę.

Portret znakomitego laureata Nobla wypadł wypukło i poucza obcych o twórcy i o szerokiem tle wyzwolenia chłopów i emancypacji ludu roboczego, które mu były inspiracją do obrazów bogatych obserwacyj i zbiorów dokumentów, jak „Ziemia obiecana" i „Chłopi".

Język francuski u Lorentowicza jest w duchu swoim, w samem jestestwie — polskim, dla swej tężyzny i niewykręcania się impresjonizmem i efektownemi aforyzmami. Poucza i wyjaśnia wykładowo i ideologicznie.

Na czele zalet tej książki postawiłbym jedną zwłaszcza z rzędu walorów najsubtelniejszych. Oto Lorentowicz nie chce być podobnym do tych wszystkich, których blask nagrody Nobla oślepił. Dla niego nie od Nobla dopiero zaczyna się wspaniałość „Chłopów" i zachowuje on prostą i wytrawną samodzielność pisarza, który pomimo wszelkie europejskie sugestje, odznaki i dekoracje — ma swój osąd niezawisły i swoje oceny. Nie sypie na rozkaz momentu mody „wielkościami" i „genjuszami"—lecz mierzy mądrze i słusznie.

Cez. Jellenta.

„SCENA I WIDOWNIA". „Niektóre z nich mają charakter „okolicznościowy". Jeśli je mimo to w tym zbiorku ogłaszam, to dla tego, że w teatrze „okoliczności" często się powtarzają i są do siebie podobne". Tak mówi p. Wiktor Brumer o swoim tomie szkiców teatralnych w przedmowie — i ma głęboką słuszność. Chociaż pojedyńcze rozdziały „Sceny i widowni" znamy już z „Życia teatru", redagowanego przez Brumera i z innych czasopism, nie straciły one swej aktualności. Przeciwnie, rośnie ona w miarę, jak zwiększa się ogólne uświadomienie krytyczne w rzeczach teatru i jak wzmaga się pęd ku jego zasadniczemu odnowieniu. W zatęchliznę szablonu i martwej tradycji, artykuły te wpuszczają świeże powietrze, aczkolwiek pisane są spokojnie i bez intencji polemicznej lub bojowej. Ich autor jest gruntownym znawcą teatru i spokojnym lecz wytrwałym jego pionierem. Nawet, gdy odnawia wspomnienia, — patrzy w przyszłość. Bardzo ciekawe są jego notatki o dawnym Teatrze Narodowym lub wiersze o teatrze Karola Estreichera, bystrego i doświadczonego widza i teatromana.

P. Wiktor Brumer jest naogół optymistą. Na to, co chciałby widzieć zreformowanem, a co teren sztuki teatralnej zabagnia lub w stanie nieużytków trzyma — patrzy bez żółci. Jego idea, ażeby autorzy starali się wystawiać wprzód swoje sztuki w teatrach prowincjonalnych, a potem dopiero w stołecznych, może obudzić silne wątpliwości („Autor i teatr"). Nasze teatry prowincjonalne nie mają inicjatywy własnej ani odwagi cywilnej. Żaden z nich nie wystawi sztuki, która nie ma na sobie stempla warszawskiego. A sceny warszawskie, kwalifikując sztuki do grania, *dopuszczając autorów lub nie dopuszczając* ich utwory do sceny, kierują się stu względami, śród których niema ani jednego, wiążącego się ze sztuką i wartością danej komedii lub dramatu. Widzimy między innemi, jak ofiarą tej cichej zmowy, którą w przygodnej pogawędce na wznowieniu „Odrodzenia" Schöntana kilku autorów wprost nazwało mafją — padł Antoni Lange ze swym przekładem „Don Juana" Zorilli. Takich ofiar są dziesiątki. Nasze dyrekcje teatrów zmarnowały i szczurom przekazały dziesiątki sztuk literatów wytrawnych, wybitnych, ażeby nie zabierali miejsca nędzom i miernotom, lub w najlepszym razie — politycznym lizusom.

Na tle tem nawet wylęgnie się niebawem — jak słyszymy — kilka sensacyjnych procesów o „spędzanie płodu". Więc nie autorom należy doradzać zdawanie kompozytorskich egzaminów w teatrach prowincjonalnych, lecz dyrekcje należy zmusić do składania egzaminów z elementarnej etyki, czystego kultu sztuki i poszanowania talentu.

Widocznie jednak sam autor książki, o której mówimy, pojmuje dobrze paskudztwo i nonsens naszych protekcjonizmów teatralnych — skoro zapowiada w swem wartościowem piśmie druk całego szeregu utworów scenicznych, jeszcze niewystawionych. Być może, iż w ten sposób sparaliżuje praktykę fałszywych wag i miar.

Do bardzo ważnych rozdziałów zaliczam „Propagandę artystyczną", w której autor wykazuje bezcelowość naszych występów zbiorowych zagranicą, o ile nie poprzedza ich stworzenie t. zw. żelaznego repertuaru, wyrobienie zespołu i zerwanie ze śmiesznemi dla obcych przeżytkami w reżyserji i inscenizacji. Literacko znowu bardzo interesujący jest artykuł o teatrze rewolucyjnym: „Zbójcy" Schillera, „Wesele Figaro" Beaumarchais'ego i t. p.

W ogóle cała książka tchnie świeżością i wszystkiemi poruszonemi przez siebie zagadnieniami pobudza do myślenia.

Cez. Jel.

POLSKA PIEŚŃ LUDOWA i jej znaczenie dla kultury narodowej. Prof. Stanisław Kazuro, autor tej broszury, jest umysłem samorodnym, o wybitnem poczuciu psychy ludowej. Organizator i dyrygent kapeli ludowej, propaguje pieśń chóralną w jej najczystszej formie — wyrosłej z tworzywa rasy. W prowadzeniu swoich niewielkich drużyn śpiewaczych osiąga często doskonałe rezultaty. Ale dla niego pieśń ludowa nie jest tylko rodzajem artystycznym, dla głaskania po twarzy— swojszczyzny, jest praźródłem całej kultury muzycznej narodu. W broszurze swej nie obawia się cofnąć tej pieśni do tajemnic pogańskich i na niej chciałby oprzeć całe nasze muzykowanie, operowanie (o zaiste!) i symfonizowanie.

Prof. Kazuro niech w tem miejscu mówi sam: „Czas jaknajwyższy cofnąć się do zamierzchłych epok, odnaleźć stare pieśni i z nich wysnuć pojęcie, jaka była i czem była wydarta ogniem i mieczem z naszych przodków serdeczna i własna ich kultura, i dowieść, że wierzenia, pogardliwie zwane gusłami, zabobonami i t. p. miały znaczenie głęboko umotywowane i stanowiły religję, opartą na podstawach praw przyrody i syntezie duszy słowiańskiej".

Prof. Kazuro widzi w pieśni ludowej potężny pion. Nawet polityka mogłaby się na nim oprzeć. Przytacza słowa posła Wierzczaka: „Gdybyśmy posiadali zebrane materjały pieśni ludowej na kresach, to kto wie, czyby granice Polski nie były szersze" i słowa Kolberja: „Naród, który przestaje śpiewać, przestaje żyć".

Cała książeczka dyszy głęboką wiarą i mocą. Zwięźle i niby naprędce rozrzuca garściami na okół ważkie myśli. Poprostu sieje. Prof. Kazuro jest skrajny i konsekwentny. Jeśli dla Karola Szymanowskiego motywy podhalańskie są podnietą, jeśli Chybiński gromadzi za pomocą gramofonu naśpiewy wymierających instrumentów, ażeby niemi bogacić skarb orkiestracyjnych, kolorystycznych możliwości w muzyce, to Kazuro stawia kwestję jeszcze radykalniej. Poprostu żąda stworzenia Filharmonji pieśni ludowej. Filharmonja akademicka nie odpowiada jego pojęciu rzeczy. „Opera ani symfonja nie grają wybitnej roli w tworzeniu kultury muzycznej natury ogólnej, a tylko polska pieśń ludowa stanowi podstawę przyszłej ewolucji".

„Wszystkie narody świata stworzyły własną kulturę na rodzimych prymitywach, i dzięki temu jest ona potężną i indywidualną".

Autorowi nie imponuje muzyka barokowa, napuszona i choćby genjalna, jeśli jest wysnuta z wzorów obcych.

Broszura prof. Kazura jest jasnym przyczynkiem, mądrą propagandą i wymownym dokumentem.

Cez. Jel.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

SZARE GODZINY (Ignis). Nowy tomik poezji pani I. Stycz, jest nowym etapem na jej twórczej drodze. Snadź rozumiejąc, że duszy kobiecej jest najlepiej z harmonją i z tą prawdziwą formą, a nie tą, która opiera się na deformacji, — p. Stycz. sklepia i konstruuje swe poezje i napewno dobrze czyni. Odnajduje siebie samą. Niektóre z nich mają nietylko swą klasyczność budowy i rymów, ale i ciekawą symetrję, lub się wprost na wzorze rysunkowym opierają, jak np. „Geometrja jaskółki", piękny symbol uwięzienia wśród czworoboku dachów i prośba o własny podryw ku swobodzie. Proste to i głębokie. Takąż symetrję posiada „Trzynasta", pogodna bukolika, „bajka leśna" o Sylenie. Naogół poezja tej autorki nie opiera się na przeżyciach melancholijnych lub dramatycznych, jest zrównoważona i uśmiechnięta nawet wobec refleksji, że życie jej jest,

jak koszmary psotne,
Ukazujące palcem coś, gdziesiś i kędy,
I jesteś często także, jak szkolarskie błędy
Na zeszycie kreślone czerwonym ołówkiem.

Jest to poezja wzorowo objektywna, płynąca z wczuwania się w rzeczy i zjawiska nie zaś w siebie, jakgdyby życie poetki płynęło równo i szczęśliwie i pozwalało na obserwacje, wdrążania się ciekawości i wnikania zmysłu kontemplacyjnego. Jeżeli ma porywy i niepokoje, to nacechowane zdrową energją, jak „Bezcielesna podróż", „Okna na północ", „Syzyf", „Jabłko Hesperyd" i inne. Poetka rwie się i szamoce — bezwiednie może — na podobieństwo pijanego statku Rimbrauda. Niepokój pozostaje więcej w spiętrzeniu mocnych i pulsujących słów, niż w podłożu psychiczno-uczuciowem. Zaś w słowach tych jest barwność i expresjonistyczna dosadność, którym zarzucićby można to tylko, że się nieco silą na superlatywy, jak „dwój", „trój" i „czwór", na neologizmy, chcące podwoić i potroić moc. Lecz często też potrafią tchnąć lekkością i niematerjalnością, jak w eterycznym poemacie „Cień", lub bardzo muzycznie trącić o sprawy ducha, jak w „Twórczości", albo wreszcie skutecznie się nastawić strachom, zmorom i przywidzeniom, jak w krzepkim a jednak widmowym wierszu „Elementale". Wierszy takich jest w „Szarej godzinie" więcej.

C. J.

MARJA DĄBROWSKA

(Fotografje K. Pęcherskiego)

JAN LORENTOWICZ

NAGRODY DLA LITERATÓW. Związek Wydawców Polskich uchwałą powziętą przez Zarząd postanowił przyznawać corocznie nagrody za najlepsze utwory literackie, jakie ukażą się w ciągu roku. W styczniu r. b. odbyło się pierwsze posiedzenie jury, do którego zaproszeni zostali z ramienia Związku Zawodowego literatów polskich — p.p. Juljusz Kaden-Bandrowski i Edward Słoński, z ramienia Związku Dziennikarzy i Literatów— p.p. St. Miłaszewski i L. Staff, z ramienia Związku Autorów Dramatycznych — p.p. W. Grubiński i St. Krzywoszewski.

Jury przyjęło za zasadę nagrodzenie autorów, którzy nie przekroczyli 35 roku; warunek ten dla krytyków nie był obowiązujący.

Po trzech posiedzeniach jury, w których brali również udział, wszakże bez prawa głosu, z ramienia wydawców p. Arct i Mortkowicz, postanowiono przewidziane nagrody, wynoszące po 2 tysiące złotych za najlepszy utwór, napisany prozą, za poezję i za działalność krytyczną podzielić w sposób następujący:

za prozę nagrodę przyznano po 1000 zł.:

p. Jarosławowi Iwaszkiewiczowi za powieść „Hilary, syn buchaltera",

oraz p. Marji Dąbrowskiej za tom nowel p. t. „Uśmiechy dzieciństwa".

Za poezję — po 1000 zł.:

p. Janowi Lechoniowi za tom poezyj p. t. „Srebrne i czarne",

i p. Kazimierzowi Wierzyńskiemu za tom poezyj „Wielka Niedźwiedzica".

Za działalność krytyczną:

p. Ostapowi Ortwinowi i p. Janowi Lorentowiczowi za działalność sprawozdawczo-krytyczną — przyznano nagrody również po 1000 zł.

Jestto pierwszy wypadek przyznania nagród literatom polskim przez wydawców.

W porównaniu z obfitością podobnych nagród, wyznaczanych corocznie we Francji, jakże ubogo przedstawiają się konkursy literackie w Polsce.

Skąd mają literaci czerpać otuchę do pracy? Czy z obojętności ogółu i dziwnego braku zrozumienia doniosłości literatury i sztuki u sfer rządzących.

JAN LECHOŃ

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

W. HUSARSKI. MALARSTWO NOWOCZESNE. BIBLJOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH. Rzecz zaiste godna poważnego miejsca w kronikach życia kulturalnego Warszawy: wydano w Warszawie pierwszą oryginalną pracę o malarstwie XIX-go wieku, napisaną w języku polskim. Najwyższy był już czas na to, aby publiczności warszawskiej przypomnieć, że malarze mieszkają i pod innemi szerokościami geograficznemi i że sztuka nie jest luksusem wyjątkowo i typowo warszawskim, ale, owszem, stanowi niesłychanie ważny składnik organiczny życia ludzi na całej kuli ziemskiej. I najwyższe uznanie należy się redaktorowi Bibljoteki Dzieł Wyborowych p. dr. S. Lamowi za to, że zdecydował się wydać pracę z dziedziny historji sztuki, którą to dziedzinę wydawcy omijają chętnie i stale. Szkoda natomiast, że kazano autorowi zmieścić tyle materjału na tak małej ilości kart, i że ozdobiono pracę tak małą ilością ilustracyj.

Autor spełnił swoje zadanie z wielką sumiennością. Nietylko, że zdołał wpoić w te niewielkie ramy całokształt malarstwa europejskiego z podziwu godną znajomością rzeczy, ale zdołał przeprowadzić podział prądów całej sztuki XIX wieku, konsekwentnie podporządkowując olbrzymi materjał kierunkowi tych prądów, przeprowadzając analizę poprzez wszystkie kraje europejskie. Więcej — do pracy swojej włączył i sztukę polską, wpajając okresy jej w krąg sztuki europejskiej i w ten sposób, po raz pierwszy w literaturze światowej o sztuce, podniósł malarstwo polskie do znaczenia wartości ogólnoeuropejskiej.

P. Husarski rozumie, że dzisiaj mówić o sztuce XIX-go wieku, to znaczy wpoić malarstwo tej epoki w ogólną historję form sztuki europejskiej. I w malarstwie XIX-go wieku czuje i podnosi kontynuację baroku. Zbyt mało, być może, wyjaśnia przyczynę swojego stanowiska, ale zajmuje je samorzutnie i słusznie, gdyż jest ono w istocie jedyne, chociaż literatura obca podkreśla je względnie słabo. Barok — to ruch, a impresjonizm i futuryzm to maksimum ruchu. (Tego znaczenia futuryzmu p. Husarski zupełnie nie wydobywa). Sztuka XIX-go wieku, to przedewszystkiem malarstwo. Architektura jest żadna, rzeźba podporządkowuje swoje zagadnienia zagadnieniom malarstwa: dlatego to styl epoki wypowiada się najdobitniej w malarstwie.

Gdzie kończy się barok? Tam, gdzie zaczyna się statyka. Więc kubizm? Nie wydaje mi się, aby p. Husarski ten fakt oświetlił dosadnie, nie widzę wyjścia z baroku.

Jako przeciwstawienie baroku daje autor klasycyzm. Klasycyzm nie tłumi ani nie kończy baroku, ale mu się przeciwstawia. Jawi się pod różnemi formami — jako idealizm, archaizm, primitywizm. Charakteryzuje go spokój i linijność. Czy tu należy i kubizm? Lecz jeśli klasycyzm Ingres'a jest walką o stracone pozycje, to klasycyzm Picasso jest walką o zdobywane pozycje nowe, jest przeciwstawieniem się ducha pokolenia, walką o śmierć i życie, a nie prądem współrzędnym.

Odmiany baroku daje p. Husarski jako realizm, romantyzm, impresjonizm, ekspresjonizm, — prądy żywe, krwią pulsujące, wyrażające się zapomocą barwy. Wszystkie są bojowe, do każdego z nich można dorzucić imię, które jest sztandarem.

Podkładając pod cały bieg malarstwa XIX wieku te dwie nici przewodnie, autor dzieli sztukę tego czasu na cztery okresy (1790—1825; 1825—1860; 1860—1895 i 1895 do dni dzisiejszych) i wydobywa typowy prąd każdej epoki, starając się wykazać ciągłość splotów ideowych następujących po sobie epok. Natrafia tu na trudności, albowiem współrzędność kierunków wręcz sobie wrogich często nie dopuszcza do ustalenia typowego

WACŁAW HUSARSKI

przejawu ducha epoki. Jeżeli klasycyzm jest przeważającym w epoce pierwszej, to któż jest przeważającym czynnikiem w epoce drugiej: Ingres czy Délacroix? Epoka impresjonizmu sąd swój wydała: odrzuciła Ingres'a. Czasy dzisiejsze nawróciły do mistrza statyki i linji wytwornej, i sztuka pewnego typu malarzy stara się do niego nawiązać. Więc nad epoką zawisł znak pytania. P. Husarski jako objektywny historyk malarstwa postąpił najsłuszniej: stwierdził fakty, nie wydając sądu subjektywnego.

Żadna inna epoka tych powątpiewań już nie nastręczała. I z wielką erudycją autor przechodzi poprzez wszystkie okresy i wszystkie kraje europejskie, konsekwentnie idąc po linji dwóch zasadniczych już wspomnianych podstawowych kierunków myśli.

Oryginalnością pracy p. Husarskiego jest, że pisana jest przez człowieka tyleż czułego na klasycyzm Davida ile na kubizm Picassa. Gdyż sam autor jest najwidoczniej rozmiłowany w klasycyźmie i wszystkich jego pochodnych, czuje jednak wartość kierunków przeciwnych i ich doniosłość historyczną, stąd zaś płynie równomierne oświetlenie wszystkich przejawów sztuki XIX-go wieku. Dla literatury polskiej o sztuce jest to atut wielkiej wartości.

Wierzymy, że książka ta spełni swoje zadanie i wniesie nieco światła do myśli i poglądów na sztukę naszych miłośników — no i artystów.

Mieczysław Sterling.

ZWIERZĘTA NA ŁAŃCUCHU. Zwierzę na łańcuchu jest zawsze tragicznym obrazem. Bez względu na to, czy będzie to jakiś dziki drapieżnik, targający uwiąz w nieposkromionej tęsknocie za wolnością i swobodnym ruchem wśród puszcz i lasów, czy też będzie to całkiem zwyczajny pies domowy, który szarpie łańcuch raczej atawistycznie, niż z potrzeby, bowiem, bądź co bądź, wróci na spoczynek do tej samej budy, do której jest przywiązany.

Jeżeli obraz zwierzęcia na łańcuchu jest tragiczny, to stokroć tragiczniejszy jest obraz, a i los także, ludzkiego zwierzęcia, skrępowanego łańcuchem i pozbawionego swobody ruchu. Bardzo rozmaite są te życiowe łańcuchy, które wieszają się tragiczną pętlą na ludzkiej szyi. Czasem jest to ta „kula u nogi", którą tak świetnie odmalował Szukiewicz w swoim niesłusznie zapomnianym przez współczesnych dramacie. Czasem jest to jakieś zobowiązanie moralne, które daremnie usiłuje człowiek zrzucić z siebie, nawet kosztem największej ofiary. Czasem jest to uwiąź, tkwiąca w samej naturze człowieka; mistyczny, nie fizyczny, a jednak niedający się zerwać łańcuch, trzyma go na uwięzi, zmusza go do pewnych poruszeń, nie pozwala mu zakosztować wolności, która — zdawałoby się — stoi przed nim otworem.

Ofiarą takiego właśnie łańcucha jest bohaterka powieści Ernesta Weissa „Zwierzęta na łańcuchu" („Tiere in Ketten". Kurt Wolff, München). Książka — trzeba to powiedzieć odrazu i bez ogródek — straszna, napisana z pasją temperamentu, skonstruowana świetnie, wyrafinowana psychologicznie, ale straszna obrazem brutalności życia, tragedją ludzkiego zwierzęcia, szarpiącego łańcuch, który mu psychika, przyrodzenie narzuciło na szyję. Przed taką pętlą nie da się uciec; coraz mocniej i mocniej zaciska się ona, z wolą czy bez woli skrępowanego, aż wreszcie zdusi gardło śmiertelnym uściskiem.

Takiem zwierzęciem na łańcuchu jest Olga, jedna z dziewcząt z domu rozkoszy, w małem miasteczku gdzieś na prowincji. Olga kochała jednego człowieka, właściciela tego domu, Franza Michalka. Kochała go bardziej, niż mogą kochać ludzie. Był jej roskoszą, jej dziewiczością, jej wszystkiem, jej jawą i snem, mordem i miłosierdziem, zwierzęciem i człowiekiem. Życie cisnęło ją w ten świat obrzydy i musiała żyć w brudzie. Stała się zwierzęciem, uwięzionem na łańcuchu między ziemią i piekłem. Ot, historja codzienna, a zawsze jednakowoż straszna. Olga poznała i pokochała Michalka, gdy był jeszcze oficerem w czynnej służbie. Oddała mu się całkowicie na śmierć i życie. Gdy więc Michalek, w następstwie niezbyt czystych sprawek, musiał wystąpić z armji i gdy jął się wcale niezaszczytnego fachu, poszła za nim, pokorna, cicha, gotowa oddać swą cześć, by dla niego zarobić pieniądze. To był jeden łańcuch, który omotał jej szyję, już raz na zawsze.

Potem pobyt w tym osławionym domu, noszącym Nr. 37, stał się przyzwyczajeniem, stał się drugą naturą. Tu ześrodkowały się jej wszystkie życiowe zainteresowania, przyjemności i pragnienia, tu przebywał ten, poza którym nie widziała świata. To przyzwyczajenie było drugim, równie silnym łańcuchem, który spętał jej swobodę. Straszny jest obraz życia tego ludzkiego zwierzęcia w zestawieniu z brutalnością kochanka — alfonsa. Ale Olga nie odczuwa jeszcze gniotącej ją uwięzi, jeszcze miłość i obecność ukochanego zaślepia ją. Dopiero później przyjdzie chwila, kiedy nadaremnie szarpać będzie łańcuchem.

Michalek porzuca ją dla innej dziewczyny ze swego zakładu, odrobiną grosza zaspakaja jej materjalne pretensje, wyrzuca ją precz. Zdawałoby się, że przed nieszczęsną otworzyły się drogi wolności i swobody. Olga wraca do rodzinnego domu, a ponieważ powraca z pieniędzmi, więc zostaje względnie mile powitana. Poznaje jakiegoś pokątnego prawnika, z jego pomocą rozpoczyna lichwiarskie operacje, powiększa swój majątek bardzo znacznie. Prawnik chce pojąć ją za żonę, chce zetrzeć z niej ohydne piętno dawniejszego życia. I znów otwarta jeszcze jedna droga do uczciwości i mieszczańskiego szczęścia.

Ale ludzkie zwierzę nie potrafi zerwać łańcuchów, które raz skrępowały mu szyję. Teraz właśnie, gdy wszystko, zdawałoby się, układa się jaknajpomyślniej, teraz właśnie te łańcuchy zaczynają ciągnąć. W Oldze budzi się bezgraniczna tęsknota za Michalkiem i za tym domem Nr. 37. Rzuca wszystko, biegnie ku swej zgubie; łańcuchy trzymają mocno na uwięzi. Michalek, już ożeniony oficjalnie z jej następczynią, okradnie ją z posiadanych pieniędzy, zmiesza z błotem, zohydzi. Gdy już cierpienie staje się nazbyt wielkie, w sercu zwierzęcia, a także w sercu człowieka rodzi się bunt, rodzi się pragnienie pomsty nawet na tem, co najbardziej ukochał. W przystępie nieopamię-

tanego szaleństwa. Olga zabija Michalka; nieprzytomną, z wygasłą wrażliwością, znajdą żandarmi wśród krzaków pobliskiego ogrodu. A potem jeszcze, gdy w nowym ataku wściekłości Olga rzuci się na więziennego strażnika, kula karabinowa położy kres jej życiu. I uwięziona na łańcuchu ostatecznego szaleństwa, Olga zakończy żywot, jak zwierzę.

Powieść Weissa nie jest bynajmniej naturalistyczną. Brutalne, realistyczne sceny są tylko tłem, wśród którego autor wchodzi głęboko, bardzo głęboko w ludzką duszę, malując świetnemi barwami jej tragedję, dręczące ją zmory, a przedewszystkiem tęsknotę do zerwania krępujących łańcuchów, których zerwać nie można. Książka straszna, lecz jednocześnie głęboka i piękna.

St. Sieroszewski.

ZOFJA WĘGIERKOWA PRACZKI W KAZIMIERZU
Salon Tow. Artystycznego

OTWARCIE KSIĘGARNI INSTYTUTU WYDAWNICZEGO „BIBLJOTEKA POLSKA". Dnia 7 grudnia dokonano uroczystego poświęcenia księgarni Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska" na Nowym Świecie Nr. 23/25.

W mowach inauguracyjnych, powiedziano to wszystko, czego się zazwyczaj nie słucha, zerkając po kątach, czy nie przygotowano bardziej emocjonujących atrakcyj, oprócz elokwencji?

Tym razem wysłuchano przemówień w należytem skupieniu, gdyż widok wzorowo ustawionych stołów, rozwiewał rodzące się wątpliwości, zaś uśmiechnięte oblicze Kornela Makuszyńskiego, dawało dostateczną rękojmię, że „Bibljoteka Polska" — szukając prawdy w winie — odkryła tajemnicę powodzenia.

We wszystkich jednak przemówieniach przeoczono najdonioślejszą stronę otwarcia nowej i pięknej, ba, wręcz imponującej księgarni. Dotychczas bowiem, osoby wytworne nabywać, a co za tem idzie i czytywać książek nie mogły.

„The right man in the right place". Istniejące już dawniej księgarnie — to sklepy, a przecież osoba wykwintna w sklepach nie bywa. To zbyt banalne. Tłem dla wykwintnej kobiety jest salon. Jeśli księgarnia poda jej pigułkę lektury wśród złota, marmurów, świateł — niewątpliwie przełknie ją z uśmiechem. Twórcy „Bibljoteki Polskiej", powoławszy do pomocy Borowskiego i Nagórskiego, dokonali tego cudu. Odtąd piękne panie nietylko będą czytywały modnych autorów, lecz i będą odwiedzały modną księgarnię. Bowiem, niepodobna, by obdarzone wykwintnym smakiem Warszawianki nie spostrzegły, że piękna ich sylwetka nabiera niezwykłej dystynkcji w salonach Bibljoteki Polskiej i, że nabywanie książek nastręcza okazję tysiącznych odmian kokieterji, słowem, muszą przyznać, że z dniem otwarcia nowej księgarni została wypełniona ważna luka w ich życiu. Nie wątpię, że wyznaczą specjalną godzinę w codziennym raptularzyku na rendez-vous w Bibljotece Polskiej. A więc... od jutra.

IRENA ŁUCZYŃSKA - SZYMANOWSKA
PORTRET D-ROWEJ F. S.
Salon Tow. Artystycznego

sztuka

SALONY I WYSTAWY DOROCZNE. Pamiętny zatarg o Zachętę, wywołany różnicą poglądów na stosunek artystów do tak zwanych miłośników, stał się przyczyną powstania dwu na raz Salonów dorocznych. Przyczyna ta nie miała właściwie nic wspólnego z walką kierunków artystycznych, która we wszystkich prawie krajach o bogotszem życiu artystycznem oddawna już wywołała podział salonów i wystaw. Pomimo to jednak i u nas, jak wszędzie, ujawniły się przy tym podziale dosyć wyraźne i dosyć zasadnicze różnice poglądów nie tylko na wątpliwą rolę naszego miłośnictwa artystycznego, ale również na dążenia i zadania sztuki. Jeżeli zaś różnice te występują na razie niezbyt jaskrawo, jeżeli niejeden uczestnik Salonu Towarzystwa Artystycznego równie dobrze znaleźćby się mógł w Zachęcie i vice versa, to pamiętać należy, że przy tego rodzaju podziałach, rozłamach i secesjach ścisła orjentacja artystyczna wymaga zawsze pewnego czasu. Paryski „Salon de la Societé Nationale"", powstały w roku 1895 jako opozycja przeciwko rygorom, panującym w Salonie urzędowym, śród założycieli liczył, obok wybitnie przewrotowego Rodina, obok czczonego przez lewicę artystyczną Puvis de Chavannes'a — również drobiazgowego naturalistę, Meissoniera, któremu nikt nie myślał bronić udziału w wszystkich urzędowych wystawach obok słodziutkich lizanek Bougereau i ponurych manekinów naturalistycznych Bonnata.

Również w roku 1907 założony „Salon d'Automne", późniejsza placówka awangardy, powstał właściwie jako skutek wzmożonej produkcji artystycznej, której nie wystarczał już jeden do roku pokaz; to też w pierwszych latach Salon ten miał charakter dosyć niekorzystny, a większość lewicowa, która z czasem zdecydowała o jego kierunku była prostym przypadkiem. „Secesje" wreszcie niemieckie obok ówczesnych przewrotowców, posiadały w swem gronie tak dziś nazywanych „sympatyków", który jednak rodzajem twórczości nie raziliby zupełnie na wystawach, cieszącem się wysokim poparciem tragicznego kabotyna w koronie— Wilhelma II-go.

W podobny, przypadkowy nieco sposób, powstał u nas Salon Towarzystwa Artystycznego, który jednak utrzyma się niewątpliwie nawet w razie zlikwidowania zatargu

o Zachętę, sztuka polska jest dziś bowiem zbyt już dojrzała i rozwinięta, a kierunki w niej i dążności zbyt wyraźnie zróżniczkowane, by mogło trwać dłużej idylliczne współżycie pod jednym dachem, i to w dodatku szklanym, artystów, nie mających ze sobą żadnej innej styczności duchowej poza używaniem farb i pendzli wspólnego pochodzenia.

To też jest rzeczą wysoce znamienną, że przeciwko dotychczasowemu statutowi Zachęty wypowiedzieli się przeważnie artyści, których sztuka wiąże się bliżej z kulturą nowoczesną, lub mówiąc ściślej, francuską, co w rzeczach sztuki wychodzi zresztą na jedno; z natury rzeczy przy Zachęcie pozostali tedy zwolennicy tradycjonalizmu, wytwarzając w ten sposób podział mocno przypominający podobne rozłamy w innych krajach, jakkolwiek narazie niezupełnie jeszcze wyrazisty.

MICHAŁ BORUCIŃSKI DAMA Z WACHLARZEM
Salon Tow. Artystycznego

Jak łatwo było przewidzieć, podział ten wypadł z uszczerbkiem dla Salonu Zachęty, której pozostało do wypełnienia, podobnie, jak co roku, dziesięć obszernych sal — po usunięciu się około 200 artystów, a w tej liczbie trzech najkulturalniejszych zrzeszeń, mianowicie „Sztuki" krakowskiej, warszawskiego „Rytmu" i poznańskiego „Świtu". To też ogólny poziom Salonu Zachęty jest zupełnie obojętny, a na tle tej szarej masy mniej, lub bardziej poprawnie zamalowanych płócien wyróżnia się nieznaczna tylko ilość dzieł, zdradzających poważny i świadomy wysiłek twórczy.

Śród tych wyróżniających się prac na pierwszem miejscu wymienić wypada portret d-ra S. przez *Boznańską*. Pomimo zamglonego i nieskoordynowanego rysunku dzieło to odznacza się niepospolitą wprost subtelnością barwy, oraz faktury, której wytworność czyni z tego obrazu zjawisko zupełnie odrębne na ogólnem tle wystawy.

Oprócz Boznańskiej wybijają się na wystawie najbardziej Żukowski i Masłowski. *Żukowskiego* krajobrazy wykazują wrodzony instynkt kolorysty w zestawieniu wyrazistych, kontrastowych plam, które w harmonijną całość łączy ogromne wyczucie tonu. Artysta celuje w odtwarzaniu ciemnej, czarnej niemal wody na tle białości śnieżnych, i zdaje sobie sprawę z tej umiejętności ze szczególnem zamiłowaniem powracając do tego motywu.

Masłowski w akwarelach przypomniał nam dobre czasy swej twórczości, w której życie polskie widziane było oczyma artysty, znającego i rozumiejącego japońską wrażliwość w posługiwaniu się lekką, jakby od niechcenia rzuconą plamą barwną. Odznaczają się z jego tegorocznych eksponatów zwłaszcza: „Kopanie kartofli" i „Staw".

Powyższe prace artystów o wyrobionem już nazwisku stanowią w ich twórczości pewien nowy wysiłek. Wymieniłbym obok nich jeszcze *Puffkego*, który w drzeworytach swoich wykazuje dobre zacięcie techniczne i właściwe odczucie plamy czarno-białej. Poza wymienionymi—*Wojciech Kossak, Okuń, Ziomek, Cieślewski, Augustynowicz, Grabowski, Kopczyński* utrzymują się na poziomie dawniejszych swoich utworów, dostatecznie znanych jak na to, by można było powstrzymać się tu od ich analizy.

Z pośród artystów o mniej popularnych nazwiskach na wyróżnienie zasługują: *Albinowska*, która w swych kwiatach daje subtelność barwy i faktury, zdradzającą dodatni wpływ Boznańskiej, oraz kilku artystów o dążnościach bardziej nowoczesnych, i którzy wydają się zabłąkani w tem otoczeniu, żyjącem jeszcze przeważnie echami plein air'u Chełmońskiego i Stanisławskiego. Należą tu: *Chmieliński*, którego krajobraz, pomimo słabej faktury i płaskiej formy, ukazuje nowoczesne zupełne ujęcie kompozycyjne, dalej *Czesław Katto*, subtelny i głęboki w kolorze, wreszcie swobodny w swej akwarelowej technice *Sonnevend* i *Gęstwicki*, umiejętnie i swobodnie władający materjałem malarskim. Wszyscy ostatnio wymienieni artyści występują zresztą pod względem ilości i wielkości eksponatów zbyt skromnie, by można było wypowiedzieć się o nich w sposób pewny.

WOJCIECH WEISS HELENKA
Salon Tow. Artystycznego

Inaczej zupełnie przedstawia się Salon Towarzystwa Artystycznego. Przy nierównie mniejszej ilości eksponatów i przy udziale tak wybitnych zrzeszeń artystycznych, jak „Sztuka" i „Rytm" udało się organizatorom zmniejszyć do minimum ilość prac nijakich i obojętnych, stanowiących zło konieczne we wszystkich Salonach.

Z ugrupowań artystycznych, przyjmujących udział w wystawie, na pierwsze miejsce wysuwa się tu „Sztuka", która wystąpiła suto, pokaźnie i poważnie zarówno ilością nadesłanych prac, jak i ich wartością. *Mehoffer* dał pięć portretów, w których odżyły dawne zasady estetyczne „Sztuki", mianowicie dekoracyjność ujęcia, unikanie głębi i modelowania, wreszcie dosyć silna stylizacja, operująca linją i plamą Przyznać trzeba, że temi przestarzałemi już nieco pierwiastkami włada artysta w sposób mistrzowski.

Mehoffer, jedyny z pośród przedstawicieli „Sztuki", uczestniczących w wystawie, przetrwał do dnia dzisiejszego przy zasadach z okresu secesji. Wszyscy inni wykazują wyraźną ewolucję, idącą w kierunku tak zwanego post-impresjonizmu. Z pośród artystów tych, pierwsze miejsce zajmuje *Weiss*. Obdarzony niezwykłem u nas poczuciem faktury, rozmiłowany w życiu, barwie i świetle artysta ten jest u nas stanowczo niedoceniony. Jest to jeden z tych nielicznych w Polsce malarzy, którzy wartość swych dzieł opierają na zaletach wyłącznie malarskich, unikając wszelkiej literatury. Jego „Helenka" jest bezsprzecznie najlepiej namalowanym obrazem w Salonie Towarzystwa Artystycznego.

Obok Weissa pierwsze miejsce pod względem wartości czysto malarskich zajmują: *Mieczysław Filipkiewicz i Jabłoński*. Pierwszy z nich wykazuje niepospolitą wartość kolorystyczną i swobodę techniki w obrazie p. t. „Pod słońce". Drugi daje pełne światła kompozycje, w których krajobraz odgrywa główną rolę. W obrazach tych, zdradzających nieomylnie wyczucie materjału malarskiego, raziły nieco błędy walorów; natomiast „Modelka" tegoż artysty, wolna od tej wady, należy, obok „Helenki" Weissa, do najlepiej namalowanych obrazów na wystawie.

Z innych poważnych wysiłków w

Salonie T-wa Artystycznego zwracają uwagę *Węgierkowej* „Praczki w Kazimierzu", największa rozmiarami, monumentalnie pomyślana kompozycja, o mocnym pomimo swych wad i błędów rysunku, głęboka w kolorze i bardzo dobrze zestawiona w kontrastach plam. Poważniejsze zagadnienie postawił sobie *Mann* w kompozycji p. t. „Nad Wisłą w Kazimierzu".

Bez zarzutu rozwiązuje *Łuczyńska-Szymanowska* niełatwe zagadnienie portretu reprezentacyjnego. Aż nazbyt wytworne portrety kobiece daje *Boruciński.*

Zlekka kubizujące obrazy *Kanelby*, przy wykwintnych zestawieniach barwnych, zbyt dużo mają łatwego wdzięku i zaokrągleń kompozycyjnych, zwłaszcza portret kobiecy.

Z pośród licznych pejzażystów, mniej lub bardziej ściśle związanych z tradycjami szkoły Stanisławskiego, wyróżniają się: *Szczygliński* — oryginalnemi zestawieniami barwnemi, *Kamocki* — szczerością ujęcia, oraz ku postimpresjonizmowi skłaniający się *Stefan Filipkiewicz*, który daje poza tem w dwóch obrazach bogate pod względem kolorystycznym kwiaty.

Udział „Rytmu" miał raczej charakter manifestacji, zaznaczającej solidarność z zasadami, które stały się przyczyną powołania tego Salonu; członkowie „Rytmu" wystąpili pod względem liczebnym skromnie, a klasyczna Głowa kobieca *Borowskiego*, rysunek sangwinowy *Ślendzińskiego*, głęboka w kolorze Djana *Rzeckiego*, oraz dwie mocne w formie kompozycje *Skoczylasa*, pomimo swych zalet, nie dały dostatecznego pojęcia o poziomie artystycznym tego wysoce kulturalnego ugrupowania.

Z rzeźb wyróżniają się: Studjum *Zerycha*, poważne i spokojne w ujęciu, drewniane posążki *Jasińskiego*, oraz Herma *Ostrowskiego*.

Zaznaczyłem na początku niniejszego artykułu, że z okazji zatargu o Zachętę ujawniła się konieczność podziału wystaw, wynikająca ze zbyt już dziś wyraźnego zróżniczkowania kierunków. Słuszności tych przypuszczeń dowodzić się zdaje zorganizowana w jednym czasie z Salonami trzecia wystawa — w Klubie Artystycznym. I tu również, jak w omawianych powyżej Salonach, sprawa kierunków artystycznych ujawniła się wbrew może intencjom organizatorów, którzy manifestacyjnie niemal postarali się o prace najróżnorodniejszych szkół i dążności. Tem niemniej punktem ciężkości jest na wystawie udział Konstruktywistów, przeważnie z grupy „Bloku". Najpoważniejsze realizacje dali w tej grupie: *Szczuka, Stażewski, Żarnowerówna, Nicz-Borowiakowa,* wykazując istotne wyczucie harmonji w zestawieniu abstrakcyjnych brył i płaszczyzn. Suprematystyczne prace *Cieślewskiego-Syna* wydają mi się pod względem technicznym nie dosyć precyzyjne, jak na ten rodzaj sztuki, dla którego ideałem formy jest kryształ.

Poza konstruktywistami i suprematystami dwaj artyści wybijają się w Klubie Artystycznym na plan pierwszy Z malarzy — przesubtelny w kolorze, świeży, miły w fakturze *Makowski*, z rzeźbiarzy zaś — *Wittig*, którego Łucznik łączy niezachwianą równowagę kompozycyjną z doskonałem poczuciem materjału rzeźbiarskiego.

Poważnym wysiłkiem są ponadto rzeźby *Zerycha*, pomimo niezupełnie jeszcze opanowanej formy.

Zaruba i Zaleski w swych poszukiwaniach kubistycznych, wychodząc ze słusznej zasady, traktują jednak formę zbyt powierzchownie. *Rutkowski* w swej prymitywizacji zbliża się do sztuki Henryka Rousseau.

Cieślewski-syn, o którym wspominałem z powodu jego udziału w pokazie Klubu Artystycznego, wystawił w Salonie Cz. Garlińskiego serję drzeworytów o doskonałem wyczuciu rytmiki, oraz prac dekoracyjnych, któ-

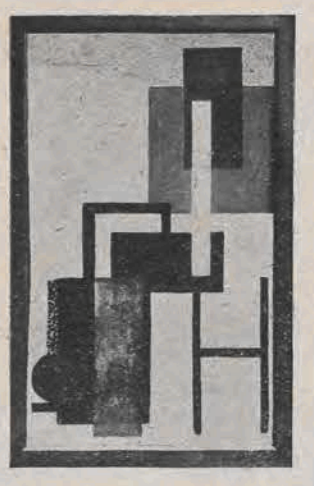

TERESA ŻARNOWERÓWNA — PROJEKT WITRYNY 1924

re pomimo wysokich zalet kolorytu wydają mi się nieco chybione w swej płaskiej stylizacji. *Wacław Husarski.*

Teatr

TEATR POLSKI. *W sieci.* Wystawiony po 25 latach rewolucyjny „wesoły dramat" Kisielewskiego „W sieci", wolą inscenizatora został związany z dalszym tego dramatu ciągiem: „Ostatnie spotkanie". Jeżeli pomysł połączenia tych dwóch utworów, tak niewspółmiernych w swoim wyrazie, sile dramatycznej — a nawet i zwykłej scenicznej dosadności, podyktowany został chęcią ujęcia tego znamiennego dzieła polskiej dramaturgji w pewną cyklowość, zamykającą cały okres scenicznej twórczości ówczesnej młodej Polski — można by to usprawiedliwić pewnemi formalnemi — zaledwie! — racjami, żadne bowiem inne względy nie tłumaczą potrzeby łączenia dobrej pierwszej części ze słabą drugą. To jakaś kinematograficzna racja. 4 serje (12 aktów!) Wszystko trwa 3 godziny. Rezultat takiego przymusowego wtłoczenia „W sieci" i „Ostatniego spotkania" w ramy wieczorowego przedstawienia, które nie może się kończyć po 12-ej — okazał się fatalny! Ze sztuki poobcinano tak wiele, że zostały zaledwie jedynie „objaśniające napisy". Przy tem nie zgodziłbym się absolutnie z inscenizatorem, który kładąc główny nacisk na niewygasającą żywotność zagadnienia (?) zaniedbał wpojenia w aktorów wiary w żywotność charakterów przedstawianych ludzi.

I oto stało się to, co zawsze dzieje się na scenie, ilekroć opuści ją twórcza inwencja.

Zamiast charakterów każdej poszczególnej postaci, bo to jest i pozostanie najciekawsze u Kisielewskiego — aktorzy, idąc najłatwiejszą drogą do niewybrednego celu — dali zaledwie „typki".

Typki ordynarnie naturalistyczne. A przecież Kisielewski był poetą i jego „naturalizm" był o niebo całe (o niebo prawdy — nie „udawania") szlachetniejszy od wszystkich „najprawdziwszych" postaci Kiedrzyńskiego czy Wroczyńskiego.

Tej poetycznej prawdy „wesołego dramatu" nie tylko nie zauważono, ale wręcz pohańbiono ją.

Dano ordynarne środowisko, w którem wogóle nic odbywać się nie może. Z tego też punktu wychodząc, przedstawienie było jednem z gorszych, jakie się widziało w teatrze Polskim.

Ostatni akt „Ostatniego spotkania" był ostatniem słowem ostatecznego pohańbienia teatru.

TEATR MAŁY. *Pan swego serca — Reynal'a — Gra — Pirandello.* Poświęcony „literackiemu" repertuarowi Teatr Mały rozpoczął swoją działalność tegoroczną również sztuką włoską, jak to było roku zeszłego. Zaczęło się Chiazellim, później Raynal, teraz Pirandello, podobno później Claudel.

Jeżeli chodziło o zaznajomienie z Raynal'em, to „Pan swego serca" nie daje żadnego wyobrażenia o tym pisarzu, przeciwnie, wprowadza w błąd. „Mogiła nieznanego żołnierza" — to Reynal.

Kameralne trio Reynal'a na temat miłości jest o tyle interesujące, że obok kilku podobnych sztuk o identycznych niemal tematach („Aimer" — Giraldy, „Le Printemps des autres" — Bernard'a, „L'age de raison" Viaral) ukazuje usiłowania młodych pisarzy francuskich do stworzenia nowego typu sztuki o „erotycznym" temacie, typu kameralnego, intymnego. Usiłowania wypłynęły z tej prostej okoliczności, że szereg młodych teatrzyków, studji, pracowni teatralnych czy laboratorjów scenicznych, uciekając od dużych sztuk, o wielkiej obsadzie, skomplikowanej maszynerji scenicznej — skupił dokoła siebie kilku zdolnych młodych pisarzy, którzy te same „wielkie tematy" próbowali dać w „stenograficznym" niejako skrócie samego rozwiązania tematu i jego scenicznej realizacji.

„Pan swego serca" ma świetne role i to zapewne zdecydowało o wystawieniu tej sztuki — aczkolwiek „ Aimer" — ma jeszcze piękniejsze role — dla tej samej obsady: Przybyłko, Leszczyński, Węgierko . Wykonanie sztuki Reynal'a było świetnym wzorem dyskrecji (poza dwoma momentami niepotrzebnie bardziej jaskrawemi: w akcie 1-szym zbyt dobitne zakończenie aktu, w 3-m wyznanie miłosne księżny). Rzadko spotyka się na scenie tak prowadzony djalog, dyskretnie, a przecież dobitnie. Pani Przybyłko była bardzo, bardzo dobra (na pierwszych

Rys. E. Głowackiego

P. ERYK ERBEN
otrzymał II-ę nagrodę na konkursie teatrów miejskich za dramat p. t. „Agne".

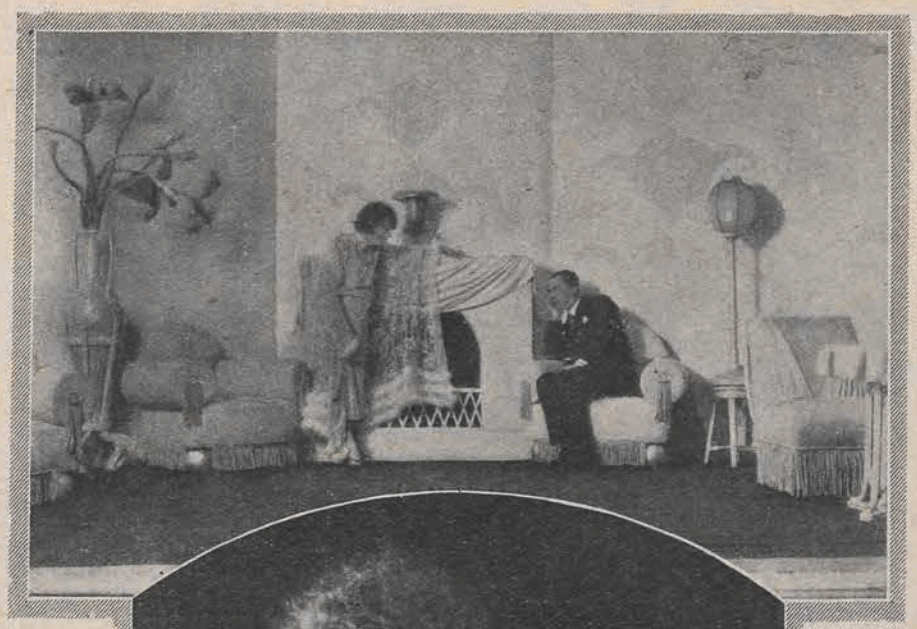

Teatr Mały

P. Marja Przybyłko w roli Księżny

„Pan swego serca“ P. Raynal'a

oraz jej partnerzy pp. Leszczyński i Węgierko

Toalety p. Przybyłko z prac. Gustawa Zmigrydzera.

Fot. St. Brzozowski

przedstawieniach, później coś się popsuło). Jednak doskonałe wykonanie tej sztuki (z pewnością lepsze niż w Paryżu) nie zupełnie usprawiedliwia jej wystawienia. W „literackim" repertuarze francuskim są znacznie ciekawsze sztuki.

Za to następna premjera „Gry" Pirandello jest ewenementem niemniejszym od zeszłorocznych „Postaci". Spotkałem się wszakże z głosami, że „postacie" były „lepsze" — dowodzi to, jak mało zrozumiano zarówno tamtą, jak i tę sztukę Pirandello.

Co jest najbardziej uderzające w każdej zresztą sztuce tego wielkiego pisarza, to ta genjalna prostota obok najzawilszej wymyślności, z jaką wydobywa on z najzwyklejszego zagadnienia jego filozoficzny problemat, jak „dramatyzuje" i uzewnętrznia w szeregu perypetyj tak ludzkich, tak bardzo ludzkich. Po bankructwie teatru „à these", i po nim następującym upadku „teatru idei" zdawało się, że już niema miejsca dla teatru, w którym błąkałby się cień bodaj „cerebralizmu". A przecież zjawienie się teatru wybitnie „intellektualnego", zbaczającego coprawda coraz częściej w stronę anarchicznego intellektualizmu (ostatnie sztuki Capka, „Ten, którego biją po twarzy", Chiazelli, Młodzi Niemcy, Crommelynck), zostało powitane z radością. Jakgdyby zapełniła się luka głodnego „umysłowej rozrywki" widza.

A przecież popełniłoby się błąd nie do darowania, uważając Pirandello za filozofa, lub moralistę. To, co się w nim często przyjmuje za ową „filozofję", tak zręcznie udramatyzowaną, jest w gruncie rzeczy czemś zupełnie innem. Z życia ludzkiego, z przeznaczenia ludzkiego, czy losu czyni Pirandello jakąś wizję globalną, która, aczkolwiek posiada cechy filozoficzne, przedewszystkiem jest jednak dramatem, konfliktem wybitnie dramatycznym. Dramatem człowieka, według Pirandella, jest to, że człowiek nie potrafi, jak inne zwierzęta, żyć „nie myśląc".

Na dnie każdego utworu Pirandello leży pewna swoista cecha jego twórczości (ona to stanowi fascynującą stronę jego utworów), którą można określić, jako „teorję zwierciadła".

Zwierciadło bowiem trzyma Pirandello w zanadrzu i w pewnych — zupełnie zresztą nieoczekiwanych — chwilach, stawia je przed oczyma swych działających osób. Z tem ukrytem zwierciadłem chodzą po scenie i ojciec w „Postaciach" „mąż" w „Grze", w niem przeglądają się wszystkie własne i cudze uczynki. I zamiast walczyć z tem odsłanianiem pobudek każdego czynu, jak to czynią wszyscy inni pisarze, ukrywając sprężyny działania swoich bohaterów możliwie najskrzętniej, lub przechowując je aż do scen „kulminacyjnych", kiedy to się „odsłaniają zagadki psychologiczne", zamiast tej gry utajonej — Pirandello prowadzi grę jawną! Jest to, jakgdyby „magik", który pokazuje, jak czyni te cuda czarnoksiężnika. I w takiem oto lustrze przeglądają się „ślepe namiętności", „szlachetne uczucia", miotające sercami ludzkiemi.

Rewelacyjna ta działalność jest często aż okrutna, jak okrutną jest wypolerowana szklana powierzchnia, bez ogródek ukazująca pryszczawe oblicze „premjowanej" piękności.

Trudno zamknąć wówczas oczy i nie spojrzeć w odbicie własnej (często, jak często!) ohydy! Jest to niezawodny sadyzm, okrucieństwo — a przecież za tem kryje się oblicze poety, prawdziwego poety!

I nie te, tak często przez niego wygłaszane dwa słowa zaledwie: „Fikcja... Rzeczywistość" są naczelnym postulatem całej twórczości,— na dnie każdej, najokrutniejszej myśli, najboleśniejszej rewelacji kryją się inne: Litość dla człowieka i jego bezradnych szamotań w poszukiwaniu prawdy.

I dlatego ten „rezoner" — „ojciec" z „Sześciu postaci", „mąż" z „Gry"!, — przechodzi przez wszystkie sztuki Pirandello, stał się ich naczelną figurą. Jest i w „Żądzy i honorze", i w „Każdy na swój sposób", i w „Henryku IV". Ta postać teatru Pirandello, ten nowy typ sceniczny—to człowiek, który jest męczennikiem własnych namiętności, cierpi, ulegając im, a przecież nie przestaje na chwilę przyglądać się własnym cierpieniom, osądza je sam najsurowiej, nie mogąc żyć bez nich. Ginie wreszcie pożerany namiętnościami, grzechem, w którym jest radość i zatracenie, niewola i dumny anarchizm. Wszystko razem splątane w nierozerwalny węzeł, jakim jest życie.

Twórczość Pirandello to jedna z najzawilszych, najbardziej upartych w nieprzezwyciężonem pragnieniu ujawnienia wszystkich odruchów życia duchowego organizacji twórczych doby dzisiejszej. Fascynująca, niesamowita, a przecież prosta i — niekiedy wręcz naiwna — jest tak bezpośrednio, tak organicznie związana z teatrem, ze sceną, z aktorstwem jak twórczość żadnego innego, chociażby najbardziej „scenicznego pisarza".

Pirandello — to teatr. Dlatego też zrozumiałem jest, że wypowiedzieć się zdołał tylko w teatrze, chociaż przed napisaniem pierwszej scenicznej sztuki („Każdy na swój sposób"), („Sześć postaci" jest dwudziestą sztuką z kolei) napisał 24 tomy poezji i prozy (obecnie wychodzi zbiorowe wydanie).

„Gra" — wykonana w teatrze Małym bardzo nierówno, przy wątpliwej interpretacji reżyserskiej pierwszego aktu, dała sposobność —po raz drugi w sztuce Pirandello!—ujawnienia wielkiego artyzmu, jaki wnosi na scenę p. Stanisławski. To już nie tylko dobrze zagrana rola, nawet świetnie — jak np. p. Frische, który grał, jak dobry aktor grać może, to nieco inna, wyższa kategorja gry aktorskiej, w której prócz umiejętności, wirtuozostwa, najlepszych nawet, jest najcenniejsza cecha aktorstwa — instynkt gry, przeobrażenia, wyjścia z siebie. To, co stanowi i jest najdawniejszą sztuką przed wszystkiemi innemi istniejącą, nigdy nie wygasająca w człowieku potrzeba znalezienia dla siebie jakiejś innej, odmiennej formy istnienia. Z ucieczki przed sobą wszakże zrodził się aktor i na tej drodze spotkał się z poetą.

Józef Brodzki.

PASTERKA ŚRÓD WILKÓW. Św. Hermana z Pibrac, bohaterka misterjum Henryka Gheona, była nietylko męczennicą we Francji, swojej ojczyźnie, lecz i w Polsce, gdzie jej wzruszające dzieje przedstawił teatr im. Bogusławskiego. To drugie jej męczeństwo sprawili krytycy, którzy się z nią obeszli— przepraszam bardzo za porównanie—nielepiej od wilków. Dlaczego — trudno zrozumieć. Chyba dlatego, że mierzyli „Pasterkę" miarą Boskiej Komedji lub Rig-Vedy. Ona zaś jest sobie skromną Pastoralką, na której widać silnie katolicki i genjalny przytem wpływ Paula Claudela. Jest religijnym melodramatem o djable w skórze wilka i o złej macosze, i widowiskiem wigilijnem z prześlicznemi prymitywami scenerji i efektów. Teatr im. Bogusławskiego odegrał go z największym pietyzmem, wyreżyserował po mistrzowsku i przygotował wykonawców głównych ról — p. Mysłakowską, Chądzyńską, Kuninę, Strońską, Kuncewiczównę, oraz panów Strachockiego, Boneckiego, Brodzikowskiego i Rozmarynowskiego — tak pieczołowicie i gruntownie, że ani jedno słowo nie przepadło i w długich nieraz tyradach nie było fałszywych nut. „Pasterka śród wilków" jest głęboko rzewna, a scena, kiedy ukradziony chleb przemienia się na kwiaty i nawraca nawet sojusznicę czarta—macochę, jest perłą cudownego liryzmu, która powinna ściągać tłumy, szkoły, pielgrzymki.

Do osiągnięcia tak wybitnie artystycznego rezultatu przyczynił się udział ks. prof. Nowackiego, który skomponował muzykę organową i braci Pronaszków, których malowidła na skrzydłach ołtarza są wprost arcydziełami koloru i stylu pierwotnego, że wspomnę Trzech Królów, zdążających do Betleemu lub stada owieczek.

Pan Schiller, który zawzięcie trzyma się na wyżynach swoich scenicznych aspiracyj, powinien żyć nadzieją, że wobec jego wytrwałości zła macocha — krytyka również rychło się nawróci.

Cez. Jellenta.

„KSIĘŻNICZKA W MASCE". Jeśli kto myślał, że w „Hrabinie Maricy" dyr. Szczawiński i p. Kazimiera Niewiarowska wysilili się tak, żeby potem przez długie tygodnie dawać publiczności strawę postną, to się omylił. Oni w operetce Kalmana brali dopiero rozpęd, ustalali swój rodzaj mieszany, ale nieprzeparcie efektowny, zrodzony z małżeństwa operetki z paryskim music-hallem.

Walter Kollo, kompozytor „Księżniczki", to już nie taka„ klasa", jak autor „Księżniczki Czardaszki" i jej córek, aż do „Hr. Maricy" włącznie, ale tym razem pokazał, że ma talent. Z wielką inwencją próbuje szczęśliwie „szlagerów" to lirycznych, to brawurowych, zawodzi romantycznie i shimmowato zachęca do miłości. Jego „Kochana" przyjmie się, już się przyjęła i weszła z tekstem swym na ekran, aby się potem rozhulać po mieście. Nie jest to ta sama marka, co jazda do Warażdynu w Maricy — ale hasło i pobudka żyje i każe się śpiewać.

Treść tak pomyślana przez Kesslera i Willi Kollo — (co u licha, więc już wszędzie są „Willi", jak u nas w Qui pro quo?) żeby mogła wpaść w sam środek kabaretu. W Księżniczce, która występuje jako szansonistka w masce, kocha się na zabój młody hrabia, nie przeczuwając, że jest ona tą samą Ritą, której on nie chce pojąć za żonę. Cud — niepoznania, że te dwie kobiety są jedną i tą samą. Operetka powinna z takich cudów się składać. Dość, że w trzecim akcie mamy feerje, maskarady, rewje i tańce, w których „Nowości" przewyższyły wszystko, co zamarzyć mógł neo-grafoman, podający się za futurystę, w noc Sylwestrową spity swojskim szampanem w Klubie Polonia. Takie markizy w maskach — p.p. Niewiarowska i Sokołowska — albo Smok, zresztą podobny do swego pobratyma z „Pana Twardowskiego", ale daleko lepszy i dowcipniejszy—to chwile olśnienia barwy i doskonała robota malarska. Sama zaś p. Kazimiera kilka razy trafia w pełny ton znakomitego smaku, raz gdy się ukazuje w kostjumie z złoto-różowej lamy, drugi raz, gdy w masce i bujnej czarnej peruce gra w kabarecie. Jest wtedy naprawdę pełną wielkiego i niezwykłego uroku.

Słowem, teatr Nowości ma karnawał zapełniony i zapewniony. Scena z klejnotami— parada pereł i brylantów — ma już oczywiście charakter więcej mechanicznie-wystawowy, modelowo-sztuczny, ale ona może najwięcej przyciągać będzie tych, których trawi nostalgja djamentowa.

W ten sposób akcję nikłą podniesiono za pomocą wystawy arcyświetnej i kameleonowo zmieniającej się do wysokości spektaklu, który bawi oko szalenie.

Doskonałej reżyserji p. Wacława Julicza zapewne przypisać należy, że w „Księżniczce" wszyscy grają, dlatego nawet i trzeci akt, kiedy już jest po wielkiej orgji świateł i kolorów i widz czuje się jak po balu, stał się możliwy i wesoły. Tutaj p. Galewski dał dobry pejzaż fiordów, gdy w akcie drugim jego dekoracje, stylizowane według linji skrzydeł motylich — wypadły znacznie anemiczniej i szablonowiej — niż koloryt kostjumów i grup na scenie.

Otóż tedy grali wyraźnie: p. Krzewiński, doskonały w charakterystyce ex-posła do parlamentu, a dzisiaj dyrektora kabaretu— rozumie się, nie żałował sobie obok kon-

ceptów i rysów komedjowych—ryzykownych ekscentryczności komika amerykańskiego. Pochwały należą się: p. Zdanowiczowi, który ma rolę dużą i dźwiga ją dobrze, Mierzejewskiemu — Adonisowi, zawsze eleganckiemu — i epizodycznym partnerom: p. Milewskiej i Zarembie.

Kapelmistrz p. Mieczysław Kochanowski nie zawodzi nigdy i jest zarówno z kompozycją jak ze swymi śpiewakami idealnie zgrany. *C. J.*

QUI PRO QUO. Oczywiście wszelkie „Kratki sądowe" już znamy — tym razem wiecznie wdzięczny ten temat przybrał zwrot silnie melodramatyczny; panie zareagowały wcale niezgorszą łezką, słuchając rozdzierających skarg Anny Niźnik na psią dolę prostytutki. Tą, co biadała i buntowała się i umiała potrącić o głębsze struny serca, była p. Macherska. Również znamy już „dialogi figlarne ze skutkiem", czyli rozmowy dwóch żydów, bilansujące najświeższą produkcję kawałów i dowcipów żydowskich. Do takiej rewji czasem się da przeszmuglować jaki koncept z ubiegłego sezonu, dobrze już ograny — ale na cóż jest ta część publiczności, która wogóle po raz pierwszy jest w teatrze? Tę zawsze pp. Boroński i Lawiński potrafią połaskotać. Barwne, parodystyczne widowiska w rodzaju „Cyrk przyjechał" lub „Cabaretance — Varietance", są zwykłemi „kupami śmiechu", wobec których człowiek nastawia się łechtliwość, lecz nie krytykę, bo nie dla krvtyki przychodzi się do Qui pro Quo.

Nie ma co mówić, że wystawa w tym teatrzyku jest coraz bardziej staranna i coraz więcej angażuje kunsztu malarskiego. Do trwałych i wartościowych numerów należą także — z ostatnich wesołych i dobrych programów — tańcząca para łyczków grudziądzkich, pucybutowo głupich i charakterystycznych, oraz „U Lwowi" — piosnki batjarskie, pełne swoistego nadpełtwiańskiego ducha, trochę wprawdzie poprzekręcane i zmieszane z innemi, ale dobre, tęgie i dobrze, że zebrane w wiązankę. Pp. Olsza, Cybulski i Bracka odśpiewali je i odtańczyli, jak się patrzy.

muzyka

FILHARMONJA. Zbigniew Drzewiecki stale przyciąga: zaletami swej gry jędrnej, mocnej i zręcznie walczącej ze wszystkiemi technicznemi i harmonicznemi trudnościami muzyki nowoczesnej, oraz umiłowaniem konsekwentnem, równającem się propagandzie samej tej muzyki. Jeden z koncertów symfonicznych z jego udziałem był cały niemal „ostatnim krzykiem" modernizmu. Poznaliśmy ciekawe impresje symfoniczne De Falla (Noce w ogrodach Hiszpanji), Debussy'ego „Danse sacrée" i „Danse profane", oraz włocha Franciszka Malpieri silne w kolorze i oryginalne w tematach„ Impressioni dal Vero" (Święta w dolinie piekła, Koguty i t.d.). Coraz częściej okazuje się, że nowa muzyka już źródło swej inspiracji rozszerzyła i czerpie z niego coraz większemi krużami.

Na krańcu przeciwległym stoi pianista Mikołaj Orłow, który upamiętnił się Warszawie znakomitym swoim Chopinem i pozyskał na trwałe jej sympatję. I tym razem jego Recital, poświęcony Chopinowi, był istotnym triumfem pianistycznej poezji i szlachetności odczucia. Do nierozwiązalnego problematu „peryklejskiej czystości" stylu Chopina, jego formy i treści — mało kto zbliża się z taką szansą odgadnięcia sfinksa, jak Orłow. Tylko w utworach, wymagających wielkiej siły, jak w Polonezach, artysta ten pozostawia nieco do życzenia. I dlatego też, innym wieczorem, w koncercie Liszta, nie odnaleźliśmy w całości koncepcji tytanicznej kompozytora. Pan Orłow jest wirtuozem w najwykwintniejszym znaczeniu tego słowa.

Występ innego znów, niewątpliwie utalentowanego pianisty, p. Róży Benzefowej, połączył się z występem gościnnym p. Neumarka, kapelmistrza, pracującego zagranicą. Jest to jeden z najlepszych dyrygentów polskich; ze znakomitą techniką i wyrazistością ruchów łączy zdolność zmuszania orkiestry do najsubtelniejszych pian i cieniowań. Panuje nad nią i równomiernie obdziela swą czujnością wszystkie grupy instrumentów. To bardzo wysoka klasa. Pani Benzefowa całkowicie opanowała apokaliptyczną bestję, która siedzi w koncercie Brahmsa. Artystka to prcowita i szybko ku wyżynom podąża.

Chór czeski imienia Smetany nie był poprzedzony konieczną famą — więc śpiewał nie przed pełną salą. Była to ujma oraz krzywda dla stron obu. Takiej drużyny śpiewaczej jeszcze w Warszawie nie było. Ani znakomity zespół ukraiński, ani chór polskich oficerów — choć należą do najlepszych z liczby chórów liczniejszych, nie sięga tak wysoko. Czesi budzili wprost podziw swym podziesiętnym kwartetem — doborem głosów, idealnem ześpiewaniem, wspaniałemi tłami basowemi, koronkową polifonją, niezrównaną interpretacją zarówno pojedyńczych fraz, jak i całej myśli przewodniej pieśni. *Cez. Jel.*

OPERA. Pomimo najszczerszej chęci nie możemy zapisać żadnego wyraźniejszego znaku życia w Teatrze Wielkim. Trochę niewyraźnych wznowień, i trochę nowych solowych występów — i tyle. Mistrz Drabik powziął szczególną — i u niego dość niezwykłą myśl — popsucia poprzedniej wystawy „Carmen". Zrobił coś tak strasznie, niedziwolężnie zgoła, lecz pospolicie, brzydkiego, że człowiek w głowę zachodzi — co nim kierowało. Dyryguje — nie p. Dołżycki, a więc nie najwłaściwszy dla dzieła Bizetowskiego kapelmistrz. Carmeną była p. Wermińska, nie mezzosopran, lecz sopran dramatyczny, nie wielkiej mocy, lecz świetnie wyszkolony przez p. Zboińską-Ruszkowską.

„Cyganerja" Pucciniego tylko w tym sensie odświeżono, że znowu śpiewa Musettę p. Zabiełło-Mazurkiewiczowa, której nikt inny w tej partji nie dorówna i nie zastąpi. Wznowiono też „Lohengrina" — w całkiem nowej obsadzie: Elza — p. Platówna, sopran, jeszcze niewystarczający, choć może z przyszłością; P. Sowilski — jako rycerz Grala, śpiewak dobry i pewny, ale bez wagnerowskiego estetyzmu i romantyzmu w głosie i grze, a więc bez duchowej łączności z wielkim kompozytorem. Jaki będzie „Zygfryd" p. Sowilskiego? Napewno dokładny i napewno daleki wdzięku i posągowości, któremi tchnąć mógłby tylko Gruszczyński, nawet w swej znacznie wzmożonej circumferencji, Herolda śpiewał p. Mossakowski, jeden z najpiękniejszych i najszlachetniejszych barytonów, jakie kiedykolwiek u nas były, o przedziwnie dźwięcznych nutach górnych. Robić się powinno o tego śpiewaka gwałt: niech jedzie jeszcze sposobić się do karjery wielkiego śpiewaka! P. Jaroszówna jako Ortruda jest czemś nowem i może ryzykownem. Piękna ta i wspaniała partja demoniczna wymaga głosu i rozległej skali gry. P. Jaroszówna ma warunki znakomite i głos też posiada, lecz nad jej kreacją nikt nie popracował.

Dlaczego jednak fakt kreowania u nas arcydzieła — „Zygfryd" tak jest bagatelizowany przez brak reklamy, przez nieuświadamianie ogółu, czem jest ta pieśń nad pieśniami człowieka, którego nie nauczono bać się i który dopiero wobec słodkiego żądła miłości ku kobiecie — po raz pierwszy uczuł w sobie lęk?

Dlaczego z tak wielkiej premjery robi się tajemnicę? Czy to na to, żeby najpiękniejsza bodaj z oper — znowu padła lub bezmocnie słaniała się, jak się chwieje za każdym razem „Walkirja" i „Trystan i Izolda"?

C. J.

GINY JENSEN

b. asystentka konserwatorjum Wiedeńskiego udziela lekcji muzyki fortepianowej dla zaawansowanych i początkujących (artystyczny akompanjament do śpiewu i wszelkich instrumentów). Wykłady w językach: Polskim, Niemieckim, Francuskim i Angielskim.
Adres: Polna 64 m. 9. Telefon 252-45

sport

PIERWSZE SENSACJE NARCIARSKIE W ZAKOPANEM. Polscy narciarze, bezpośrednio po sukcesach na międzynarodowych zawodach narciarskich w Smokowcu na Słowaczyźnie, startowali w niedzielę na zawodach w Zakopanem, zorganizowanych przez sekcję miejscowego gniazda sokolego.

Pierwsze te w roku bieżącym zawody obfitowały w szereg sensacyjnych niespodzianek. Najlepszy bowiem czas osiągnął startujący po za konkursem w biegu wojskowym W. Suleja. W konkurencji W. Gąsienica w biegu sen. II kl. osiągnął lepszy czas od zwycięzcy biegu sen. I kl. Józefa Bujaka, który zwyciężył także w głównym biegu międzynarod. w Smokowcu. Doskonałe wyniki osiągnęli p. K. Schiele, zaliczony do kategorji starszych „Old bojów", oraz p. Ela Ziętkiewiczowa w biegu pań.

Wyniki poszczególnych kategoryj biegów były następujące:

I. Bieg seniorów I kl. — 18 klm.: J. Bujak (S. N. T. T.) 57:31 s.; 2) St. Sieczka (Sokół) 57:56 s.; 3) J. Lasak (S. N. T. T.) 58:05 s.

II. Bieg sen. II kl. 18 klm.: 1) Wł. Gąsienica (S. N. T. T.) 56:51 s.; 2) Wł. Żytkiewicz (S. N. T. T. 57:54 s.; 3) St. Lankosz (S. N. T. T.) 58:04 s.

III. Bieg starszych — 18 klm.: 1) K. Schiele (S. N. T. T.) 57:44 s.; 2) A. Zamojski (S. N. T. T.) 1:02:04 s.; 3) H. Bednarski (S. N. T. T.) 1:03:18 s.

IV. Bieg sen. III kl. — 18 klm.: 1) Kuraś (S. N. T. T.) 59:43 s.; 2) Wilczyński (Sokół) 1:00:04 s.; 3) Mietelski (S. N. T. T.) 1:02:46 s.

V. Bieg pań — 4 klm.: 1) Ela Ziętkiewiczowa (S. N. T. T.) 37:00 s.; 2) J. Ochotnicka 43:35 s.; 3) Żydroniówna 41:23 s.

VI. Bieg wojskowy — 18 klm.: po za konkursem: 1) W. Suleja 56:08 s.; 2) M. Mückenbrun 58:07 s.; 3) A. Krzeptowski 1:00:58 s.

Zeszłoroczni mistrzowie, t. j. Mückenbrun, mistrz Polski i Krzeptowski mistrz armji niezbyt spisali się, ponieważ w konkurencji ogólnej (I kl. sen.) wyszliby wogóle bez miejsca.

Natomiast chluba polskiego narciarstwa pani Ela Ziętkiewiczowa (Michalewska) w konkurencji pań zdobyła sobie sławę światowej sportsmenki. P. Ela Ziętkiewiczowa odniosła dotychczas 18 zwycięstw w biegach międzynarodowych w tem 14 po za granicami Polski, 3-krotnie nawet zdobyła pierwsze nagrody w biegach męskich o bardzo silnej konkurencji; a to w r. 1915 na Seemeringu w biegu z przeszkodami na 45 zaw., w r. 1920 na zaw. w Bielsku w biegu juniorów i w r. 1922 w skokach sen. II kl. w Worochcie. W r. 1915 zdobyła mistrzostwo Austrji, zaś w r. 1923 mistrzostwo Francji.

DERBY HOCKEYOWE W ST. MORITZ.— Niezwykle pięknem i rzadko widzianem widowiskiem było niedzielne spotkanie w St. Moritz dwóch doskonałych angielskich drużyn bockeyowych na lodzie: London—Lyons i uniw Oxfordu. Walka obu mistrzów hockeya należała do jednej z najpiękniejszych, jakie wogóle dotychczas były widziane w Szwajcarji. Siły były zupełnie równe tak, że wynik ostateczny został osiągnięty tuż przed samym końcem.

Wogóle to i owo

Fot. W. Machowski i W. Złakowski; zdjęcie wykonane specjalnie i wyłącznie dla „Światowida" i „Pani".

WARSZAWSKIE CIAŁO DYPLOMATYCZNE W TEATRZE WIELKIM STOLICY

Na zdjęciu widoczni *(od lewej ku prawej)*: Dyr. Prot. dyplom. Min. Spr Zagr. Stefan hr. Przeździecki, Dyr. Opery E. Młynarski, Lady Max-Muller żona Posła angielskiego, J. E. de Panafieu, Ambasador Francji, Panie d'Anckarsvärd, c rka i żona Posła szwedzkiego, bar. d'Escaille Poseł belgijski, Sir Max-Muller Poseł angielski, Barbier sekr. Amb. franc.; P. Postowa, żona Posła austrjack., Simič Poseł jugosławiański, p-na Belitska, córka Posła węgierskiego, d'Anckarsvärd Poseł szwedzki, Ehrström, Poseł finlandzki i Talaat-Tahibey Poseł turecki.

SPORT I ARTYŚCI

LEGJA HONOROWA DLA RACHILDE. Wśród kilku literatów, nagrodzonych obecnie legją honorową, znalazła się również dziś już nieco zapomniana, ongi słynna zarówno ze swej piękności i awanturniczego życia, poetka i powieściopisarka Rachilde. W swoim czasie wiele hałasu uczyniła napisana przez nią powieść p. t. „Monsieur Venus", za którą Rachilde nawet dostała się pierwotnie na 2 lata do więzienia za obrazę moralności.

Zmieniają się czasy i pojęcia. Udekorowana dziś Rachilde na zapytanie jednego z dziennikarzy o wrażenie, jakie zrobiło na niej to odznaczenie, odpowiedziała ironicznie: „Wrażenie?... Cieszę się bardzo, bo na moich dostawcach zrobi to odznaczenie niezawodnie dobre wrażenie".

FLIRT... PO CHIŃSKU! Szalejąca obecnie w Europie nowa namiętność: Mah-Jong, chińska gra, niezbyt skomplikowana i pozornie tylko zabawna, sprowadziła jako rezultat naukę chińskiego języka w sferach towarzyskich... (narazie tylko) Paryża.

Najnowszą modą Paryża są czułe bileciki, pisane po chińsku.

Coprawda język chiński posiada tylko 80 tysięcy znaków — ale już za pomocą dwudziestu można wyrazić tę niewymyślną treść, jaką zazwyczaj posiadają bilety doux... na całej kuli ziemskiej.

A więc: narysowany domek oznacza wezwanie na rendez-vous... Cóż prostszego?... Należy tylko dołączyć numer domu i telefonu. Jedna kobieta kobieta w domu (narysowana) oznacza szczyt szczęścia... natomiast dwie... oznaczają już niezgodę... a trzy... kłótnię... Przejrzysta symboliczność chińskiego języka pozostawia szerokie pole do filozoficznych rozmyślań nad martwotą naszych literek, wyrażających najgorętsze nieraz uczucia.

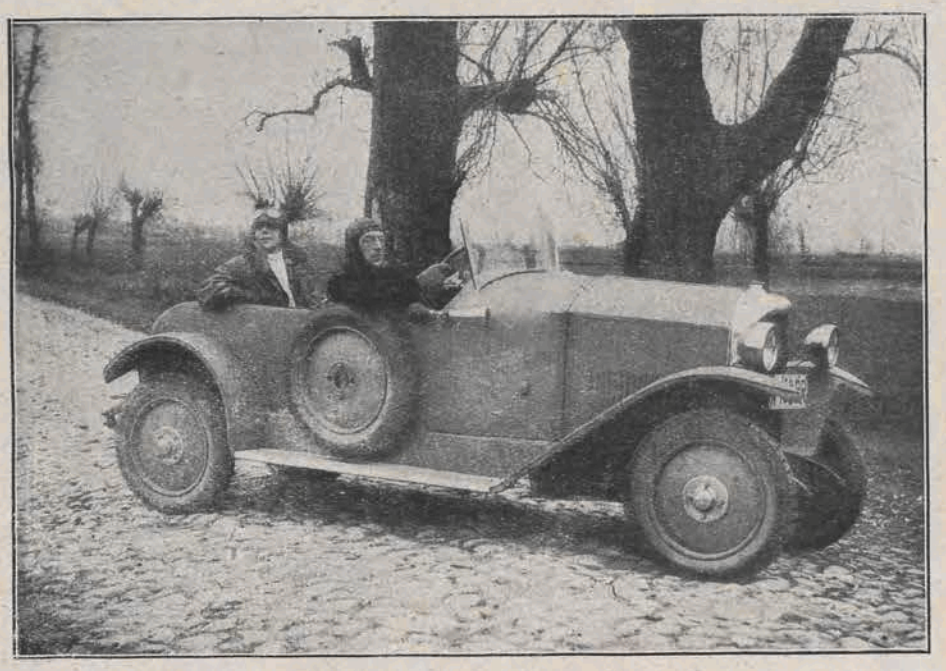

ARTYŚCI WACŁAW BOROWSKI i IRENA POKRZYWNICKA-BOROWSKA

w swoim automobilu, którego sportową karoserję na podwoziu Mathisa, pan Borowski zaprojektował i własnoręcznie wykonał.

Fot. St. Brzozowski

GRUPA PRZEDSTAWICIELI OBCYCH MOCARSTW I PAŃSTW, ZGROMADZONA W SALI RYCERSKIEJ ZAMKU

(Pierwszy z lewej ku prawej J. E. Nuncjusz Msgr. Lauri, nieco dalej na prawo J. E. Ambasador Francji A. de Panafieu, w środku poseł Anglji Sir Max-Müller w rozmowie z Posłem Jugosławji Simičem, dalej (z kapeluszem w ręku) poseł Belgji bar. d'Escaille, na końcu (na prawo) poseł Austrji Post)

ŻYCIE NOWOROCZNE NA ZAMKU KRÓLEWSKIM W WARSZAWIE. Spokojny i cichy zazwyczaj Zamek królewski Stolicy budzi się obecnie w każdy dzień noworoczny do bujnego i pięknego życia. Prezydent Rzeczypospolitej przyjmuje w nim życzenia noworoczne Rządu, przedstawicieli państw obcych i społeczeństwa.

Zamek przybiera w dzień ów — dzięki pracy jego wielkorządców: prof. Skórewicza, d-ra Turczyńskiego, pp. Domańskiego i Kuleszy—wspaniałą, godną wielkości Państwa i jego dziesięciowiekowej tradycji, szatę

Bezcenne stare kobierce, bronzy, fotele, stoły, kryształy i świeczniki, zczerniałe portrety i patyną wieków przysypane rzeźby mówią o sile naszej kultury; wesoła, spokojna jednak zieleń krzewów komnatnych i kwiatów tchnie w sale zamkowe dech mocnego dzisiejszego życia.

Poprzez komnaty i sale

Fot. St. Brzozowski

ADJUTANTURA GENERALNA PANA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ

Zdjęcie w Sali Asemblowej uchwyciło *(od lewej ku prawej)* por. Łaszkiewicza, maj. Meyera, Gen. bryg. Zaruskiego i kap. Horodeckiego.

Zamczyska przelewa się barwna, poważna i bardzo wykwintna fala ludzi, śpieszących z życzeniami noworocznemi do Głowy Państwa, Prezydenta Rzeczypospolitej.

W dawnej kordegardzie królewskiej, w t .zw. Sali Mirowskiej wita dostojników Państwa i przedstawiceli państw obcych wyborowa kompanja honorowa z przybocznego Oddziału Prezydenta Rzplitej.

Poprzez Salę Canaletta śpieszą noworoczni Goście Prezydenta do wspaniałej Sali audjencjonalnej, dawniej sejmową zwanej. Spogląda tutaj ku nim ostatni król, Stanisław August, uwieczniony w ornacie koronacyjnym przez genjalnego Baciarellego. W sali audjencjonalnej gromadzi się Rząd Rzplitej, składający gremjalnie życzenia noworoczne Prezydentowi.

W dawnej sypialni królewskiej, wykładanej cennym drzewem cisowym, a wybitej błękitnym atłasem, zbierają się przedstawiciele armji: generalicja. Jaśnieją chwalebne krzyże

KRÓLEWSKIM W WARSZAWIE

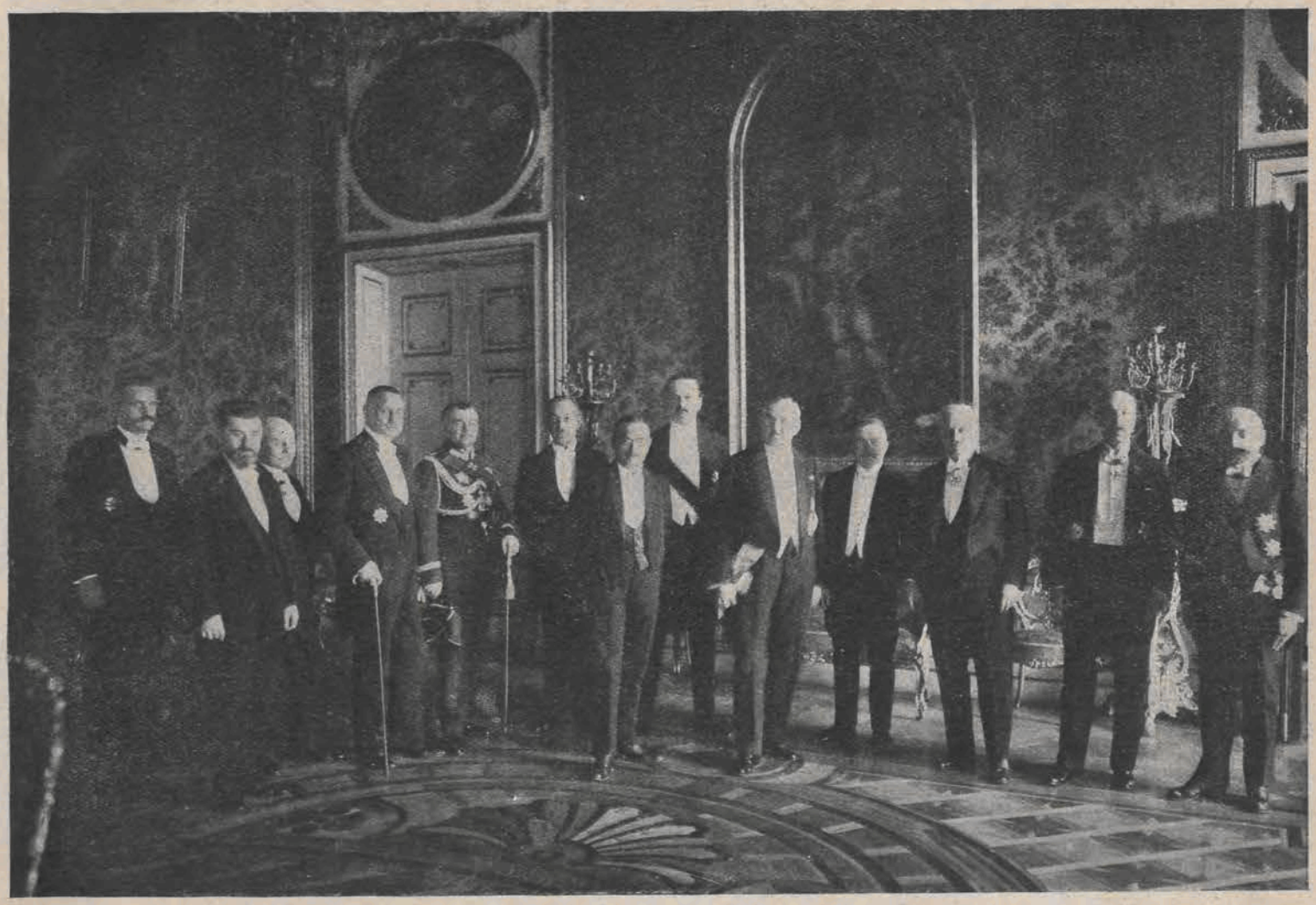

RZĄD RZECZYPOSPOLITEJ

Fot. St. Brzozowski

Fotogr. wykonana w sali audjencjonalnej (dawniej sejmowej) przedst. (z lewej ku prawej) ministrów: robót publ. Rybczyńskiego, reform rol. Kopczyńskiego, wyzn. i oświaty Zawadzkiego, roln. Janickiego, wiceministra spraw wojsk. gen. dyw. Majewskiego,

„Virtuti Militari", Czerwienieją wstęgi i wstążeczki „Polski Odrodzonej", lśnią obce krzyże i ordery. W powietrzu przyciszony gwar, lekkie, tłumione brzęki ostróg i szabel.

W poważnej, prześlicznemi orłami zygmuntowskiemi zdobnej Sali koronacyjnej przystają na chwilę śpieszący, każdy oddzielnie, ku Głowie Państwa: Kardynał - Arcybiskup Kakowski, to znów Marszałkowie Senatu i Sejmu. Panowie z Protokółu dyplomatycznego, Kancelarji cywilnej i Adjutancji generalnej towarzyszą dostojnikom Państwa aż ku sali, w której oczekuje ich Prezydent.

W przyległej do niej ogromnej Sali rycerskiej gromadzą się tymczasem przedstawiciele obcych mocarstw i państw. Czarne, ciemno-bronzowe, granatowe i czerwone fraki ambasadorów i posłów, pełne złocistych haftów, wstęg, akselbantów i gwiazd promiennych wypełniają tłumnie wielką salę Pomiędzy zebranymi tworzą się coraz to nowe, żywe grupy, gwar rośnie,

Fot. W. Miachowski i W. Złakowski

PROTOKÓŁ DYPLOMATYCZNY
MINISTERSTWA SPRAW ZAGRANICZNYCH

W zacisznym gabinecie konferencyjnym króla Stan. Augusta schwycił łot. pp.. (od lewej ku prawej): ks. Lubomirskie

sprawiedliwości Żychlińskiego, ministra Thuguta, ministra spraw zagranicznych Skrzyńskiego, Prezesa Rady Ministrów Grabskiego, ministra kolei żelaznych Tyszkę, spraw wewnętrznych Ratajskiego, pracy i opieki społecznej Sokala i przemysłu i handlu Kiedronia.

wraz jednak milknie, a ożywione grupy rozpływają się szybko, by stworzyć karne, ściśle w myśl przepisów ceremonjału ustalone półkole. Spogląda ku ambasadorom i posłom potężny Chronos (Czas) Monaldiego, który od dwu niemal już wieków godziny wydzwania, patrzy ku nim z drugiej strony lotna „Sława" Le Brun'a. Wysoko, pod prześlicznym stropem jaśnieją portrety wielkich Synów Polski, wzdłuż ścian biegną płótna, sławiące Jej wzniosłe i potężne chwile. Z olbrzymich okien ku Wiśle zwróconych spływa do sali jasne, zimne światło, rozpala w bezcennych kryształowych weneckich pająkach barwne tęcze, blaski i skry.

W wielkiej, pełnej kolumn i wspaniałych bronzów Cafieri'ego Sali Asemblowej Prezydent Rzplitej styka się w dzień noworoczny z przedstawicielami nauki, sztuki, samorządu, Sejmu i Senatu, duchowieństwa. Fiolet prałatów odbija surowo od czarnych fraków, bronzowe i granatowe sukmany chłop-

go, Jerzego hr. Tarnowskiego, Dyrektora Stefana hr. Przeździeckiego, Rajnolda hr. Przeździeckiego i p. Starcka.

skie wprowadzają swoistą nutę w świetne zebranie, biały kołpak Metropolity prawosławnego wybija się ponad wszystkich. W jednej z wnęk komnaty widać poważne postacie Żydów, gdzieindziej zaś siwiutkich weteranów z 63-go roku...

* * *

Wre w Zamku w dniu noworocznym bujne życie, pełne swoistego piękna i uroku, a kieruje nim dyskretnie lecz bardzo stanowczo i sprawnie znakomity Protokół Dyplomatyczny naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, wspomagany przez sprężystą Kancelarję Cywilną i Adjutanturę Prezydenta Rzplitej.

* * *

W tym roku po raz pierwszy udało się fotografom „Światowida" i „Pani". St. Brzozowskiemu, W. Złakowskiemu i W. Machowskiemu dokonać szeregu niezwykle interesujących zdjęć z życia noworocznego na Zamku warszawskim, z których część obok podajemy.

SENAT WŁOSKI I SZTUKA.

Wedle statutu senatu włoskiego powoływane być mogą do niego wybitne jednostki, które „dzięki niezwykłej pracy i zasługom przyczyniły się do chwały ojczyzny". Odnosi się ten paragraf zarówno do polityków, jak przedstawicieli literatury, sztuki plastycznej, muzyki i dziennikarstwa. Ale senat włoski oddawna stosował przy powoływaniu takich senatorów niezwykłą surowość. Z tego tytułu wprowadzono do senatu Aleksandra Manzoniego, natomiast takim wielkim twórcom, jak Verdi i Carducci odmówiono tego zaszczytu. W ostatnim czasie przyjęto w skład senatu zmarłego niedawno Pucciniego, który z powodu śmiertelnej choroby nie mógł już uczestniczyć w żadnem posiedzeniu, oraz nestora włoskich historyków sztuki, Adolfa Venturi, autora monumentalnej historji sztuki i profesora rzymskiego uniwersytetu. Niemal jednocześnie odrzucił jednak senat dwie inne kandydatury znanych pisarzy, mianowicie neapolitańskiego poety i nowelisty di Giacomo i krytyka Ugona Ojettiego, tego ostatniego, jak twierdzą za kulisami, z powodu zawziętej działalności przeciwniemieckiej.

(„Prz. T. S.").

Wszystkim prenumeratorom naszego pisma wysyła firma Dr. A. Oetker (Fabryka środków spożywczych), Oliwa pod Gdańskiem, nową książeczkę przepisów gospodarczych dla gospodyń.

Śpieszcie dziś jeszcze z wysłaniem pocztówki, podając dokładny adres.

KOPENHASKIE ECHA „Pana Twardowskiego"

P. ELLEN JÖRGEN-JENSEN.

Primabalerina królewskiej Wielkiej Opery w Kopenhadze która z ogromnem powodzeniem kreowała w obecnym sezonie główną rolę taneczną w balecie „Pan Twardowski" L. Różyckiego.

„PAN TWARDOWSKI" RÓŻYCKIEGO zyskał ostatnio niezwykłe powodzenie w Kopenhadze. Królewska Wielka Opera tamtejsza wystawiła go po rocznych niemal studjach, z wielkim nakładem pracy i inwencji artystycznej prowadzonych.

Główna rola taneczna przypadła świetnej tancerce, królewskiej Primabalerinie Kopenhagi p. Ellen Jörgen-Jensen. Sukces baletu i Primabaleriny był olbrzymi: oczarował i porwał spokojną zazwyczaj i skąpą w uniesieniach publiczność Kopenhagi.

P. Ellen Jörgen-Jensen dobrze przysłużyła się sztuce polskiej.

Szczerbiński.

Z KALOTECHNIKI.

Zmartwionej. Przeciw otyłości polecić możemy pani do picia herbatę „Dalloff-Tea", b. skuteczna.

M. K-iej. Myć twarz w wodzie ciepłej, nacierając watą z proszkiem „Perełki alkaliczne", doskonały środek na wągry.

Krakowiance. Przeważnie tylko nazwa. Wyślemy pani rzeczywiście radjowany krem, usuwający zmarszczki i udelikatniający.

N. Z. z Tamki. Uchodzi za najtrwalszą, jednak w wykonaniu jest dość trudną. Znacznie łatwiej stosować farby płynne. Przedtem należy włosy dobrze wymyć koniecznie mydłem płynnym. Lepiej osobiście. Wybierzemy kolor i odpowiedni gatunek trwały. Dyskrecja zapewniona. Nie będą się niczem różnić od pozostałych.

Nauczycielce. Owszem, posiadamy na składzie radykalne środki od łupieżu. Prosimy się zgłosić. Kalotechnika, Marszałkowska 116.

PORADY KOSMETYCZNE.

Górna Wilda. Do mycia twarzy zamiast mydła używać otrąbki migdałowe „Select". Parę razy dziennie twarz wycierać płynem „Fluide Lenitif", a przestanie się łuszczyć.

St. Zakrz. Wągry zbyt mocno wyciskać nie należy, lepiej do mydła używać proszek alkalinowy „Sveno" (Sweno) i kilka razy dziennie twarz zwilżać płynem „Albarol". Wyślemy. Rezultat niech pani zakomunikuje.

Jadw. Kow. Zmarszczki lekko rozprowadzać kremem „Salome", stale, codzień; krem ten jednocześnie udelikatnia, przywraca elastyczność stwardniałej lub łuszczącej się cerze, opierzchłym rękom. Lekko wcierać przed i po umyciu.

Dr. Roemer.

Listy i zapytania proszę kierować pod moim adresem do redakcji „Pani".

Tak jak dawniej poleca

I. FILIŃSKI

MARSZAŁKOWSKA № 153.

TELEFON 185-70

obuwie wykwintne własnego wyrobu

ECHA POWITANIA NOWEGO ROKU

Jednem z najwytworniejszych zebrań towarzyskich w noc sylwestrowską był wieczór, urządzony przez kolonję amerykańską w Warszawie. Na wieczorze tym obecni byli posłowie Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji z małżonkami, liczni członkowie korpusu dyplomatycznego obu poselstw, oraz barwne grono nadobnych pań.

Prawdziwą ozdobą i atrakcją tego wieczoru były popisy słynnego pianina reprodukcyjnego „Duo-Art", popierwsze wykonywującego znakomicie cały szereg utworów fortepianowych, powtóre przygrywającego do tańca z nadzwyczajną rytmiką i wybornie oddaną charakterystyką najnowszej shimmy, foxblues, onestepy i t. p.

* * *

Dla niewtajemniczonych pozwalamy sobie podać na tem miejscu garść interesujących szczegółów o instrumentach „Duo-Art". Jest to fortepian lub pianino wszechświatowej sławy produkcji największej międzynarodowej kompanji The Aeolian C°, do której należą fabryki Aeolian. Steck, Stroud, Steinway i Weber. Placówki tej kompanji znajdują się na całym świecie, a przed paroma miesiącami zostały otwarte w Warszawie przy ul. Ossolińskich salony Aeolian-Hallu, gdzie się znajduje bogata kolekcja wyżej wymienionych instrumentów.

Każdy instrument „Duo-Art" posiada trzy zastosowania: 1) reprodukuje z niesłychaną precyzją grę wielkich pianistów-wirtuozów, 2) pozwala na indywidualne odtwarzanie utworów tak jak zwykła pianola, 3) jest doskonałym instrumentem do gry ręcznej.

Repertuar rolek nutowych zarówno „wirtuozowskich" na „Duo-Art", jak i zwykłych pianolowych, przedstawia się wręcz imponująco. Widzimy tutaj całą literaturę fortepianową, transkrypcje oper, symfonij, akompanjamenty do śpiewu, skrzypiec i wiolonczeli, oraz tańce.

O sposobie reprodukcji arcydzieł literatury fortepianowej przez „Duo-Art" wyrażają się z niekłamanym entuzjazmem najznakomitsi pianiści - wirtuozi całego świata, którzy nagrywali rolki reprodukcyjne z mistrzem Paderewskim i Hoffmanem na czele. Liczne grono muzyków warszawskich, które miało możność słyszenia „Duo-Art", wydało o niem nader pochlebne opinje, z których przytaczamy niektóre fragmenty.

Senior pianistów-wirtuozów i pedagogów polskich, prof. A. Michaławski, uważa „Duo-Art" za ostatnie słowo techniki reprodukcyjnej.

Dyr. Konserwatorjum warszawskiego, kompozytor, wirtuoz i pedagog, prof. H. Melcer, podkreśla interpretację, która przypomina do złudzenia grę dobrze mu znanego zgasłego mistrza Busoniego.

Prof. Szopski, kompozytor i szef Wydz. muz. w Dep. Sztuki i Kultury mówi, że największym triumfem „Duo-Art" jest to, że instrument ten swoim mechanizmem nie zatraca pierwiastka duchowego. Przyłącza swój głos Dyrektor Opery Warszawskiej E. Młynarski, uważając bezsprzecznie „Duo-Art" za najlepszy instrument reprodukcyjny. Dyr. Akad. Muz. w Poznaniu, twórca pieśni, prof. H. Opieński, zaznacza z naciskiem, że zachowywanie „wyrazu duszy" grającego artysty jest najwspanialszą zdobyczą tego wynalazku. Pianista-wirtuoz prof. Zb. Drzewiecki wyraża żal, że „Duo-Art" nie egzystowało za czasów Chopina, że mogłoby dziś dać nam słyszeć autentyczną grę wielkiego czarodzieja tonów. Dalej notujemy słowa młodego wirtuoza W. Łabuńskiego, który, słuchając „Duo-Art", odnosi wrażenie autentycznej gry wirtuozów gdzieś w salonie i kompozytora L. M. Rogowskiego, stwierdzającego, że genjusz ludzki nie zna granic, dowodem czego jest fakt, że może samego siebie reprodukować.

Z niemniejszym podziwem mówią o „Duo-Art" Mikołaj Orłow, prof. K. Szuster i prof. St. Zmigryder.

* * *

Zagłębiwszy się nieco w tajniki „Duo-Art", powróćmy jeszcze na krótką chwilę do opisu wieczoru sylwestrowskiego w kolonji amerykańskiej, gdzie liczni goście rozkoszowali się doskonale przez „Duo-Art" interpretowaną muzyką fortepianową. W kilka dni później instrument ten znalazł się w salonach ambasady angielskiej, gdzie produkcje jego cieszyły się niemniejszem uznaniem wytwornego grona słuchaczów.

Nadobna Czytelniczko „Pani" i Ty, Czytelniku, pamiętajcie o tem, że w salonach Aeolian-Hallu przy ul. Ossolińskich 4 w Warszawie można zawsze usłyszeć pięknie przez „Duo-Art" interpretowaną muzykę od najcelniejszych arcydzieł literatury klasycznej, aż do najnowszych tańców, będących „dernier cri" obecnego karnawału. *Percy.*

Najlepsze

Wyżymaczki

amerykańskie

POLECAJĄ

Krzysztof Brun i Syn

Warszawa, plac Teotralny. Marszałkowska 124

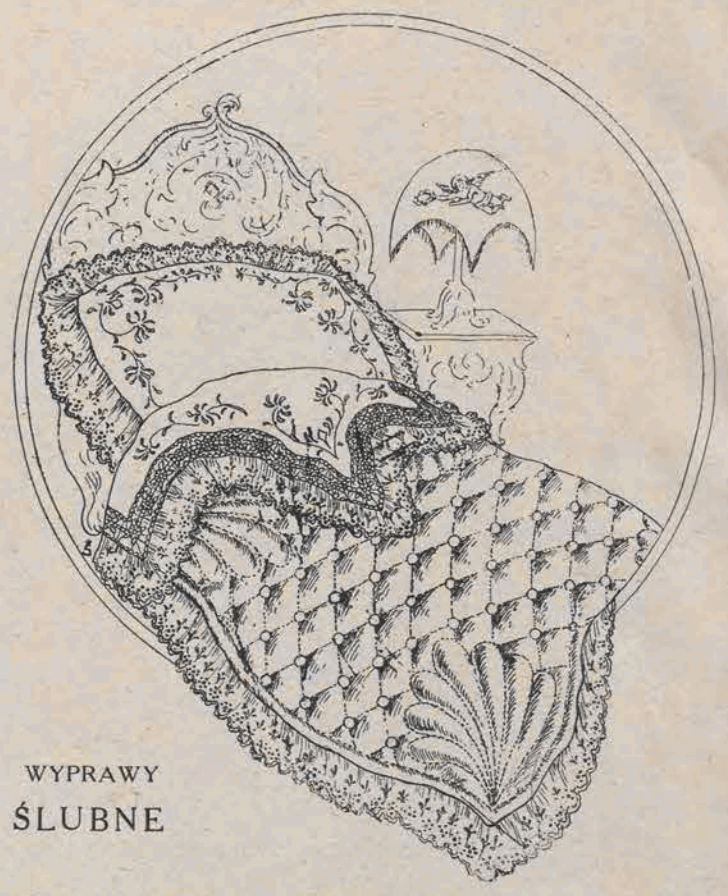

WYPRAWY

ŚLUBNE

WYTWÓRNIA WYKWINTNEJ POŚCIELI

Wł. Wrotnowski

Telefon 171-13. — WARSZAWA. PLAC SASKI Nr. 1. — *Rok założenia 1837*

CRÊME DE BEAUTÉ

LIBERTI

MARKA FABRYCZNA Liberti WARSZAWA

NAJSKUTECZNIEJSZY ŚRODEK UDELIKATNIAJĄCY. MATUJE I WYBIELA CERĘ, USUWA ZMARSZCZKI, CZYNI SKÓRĘ RĄK AKSAMITNĄ.

Sprzedaż we wszyst. aptekach, drogerjach i perfumerjach.

SKŁAD FABRYCZNY:

Warszawa, Marszałkowska 62. Tel. 224-39.

BEZZAWODNE FARBOWANIE WŁOSÓW

NA WSZYSTKIE KOLORY

„HENNĄ L'OREAL"

TYLKO W FIRMIE

BOLESŁAW MAZURKIEWICZ

NOWY-ŚWIAT 40 (GDZIE KINO „PAN"). TEL. 233-60

Popierajcie Przemysł Krajowy

PEPEGE

Marka fabryczna

Żądajcie wszędzie

KALOSZY

PIERWSZEJ W POLSCE FABRYKI

KALOSZY I OBUWIA SPORTOWEGO

„PEPEGE"

POLSKI PRZEMYSŁ GUMOWY

TOWARZYSTWO AKC. W GRUDZIĄDZU

TEODOZJA WR. KAZARSKIEGO. WARSZAWA.

TOWARZYSTWO AKCYJNE

„J. FRANASZEK"

WARSZAWA

Istnieje od roku 1829

ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 15. Telefon 1-72

Ogólny widok fabryki

OBICIA PAPIEROWE

(TAPETY)

OD NAJSKROMNIEJSZYCH DO NAJWYTWORNIEJSZYCH

Z. KILTYNOWICZ

DYWANY WSCHODNIE

BEZPOŚREDNI IMPORT Z TURCJI I PERSJI

WARSZAWA
telefon 14—12

MAZOWIECKA 16
wprost Kredytowej

TYGODNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, WARSZAWA.